Rok X. Warszawa, Wrzesień-Październik 1935. № 7-8.

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

WYCHODZI CO MIESIĄC, Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA
DZIESIĘĆ ZESZYTÓW TWORZY TOM

PARALELE XXII.

O LEGENDZIE »ARYMAN MŚCI SIĘ«

1. Żeromski a świat legend. W twórczości Stefana Żeromskiego, pisarza, który przez szereg lat zawodowo oddawał się pracy bibljotekarskiej, świat książek odegrał rolę tak dużą, że zagadnieniu temu można było poświęcić spore a bardzo interesujące studjum [1]. Wśród książek tych niepoślednie miejsce przypadło dziełom, traktującym o średniowieczu, o jego życiu i zwyczajach, języku i literaturze, podaniach i legendach. Tutaj to autor „Syzyfowych prac" znajdował nietylko materjały do wzbogacenia swej polszczyzny, mieniącej się niejednokrotnie w miejscach najmniej oczekiwanych, — nietylko na kartach „Puszczy Jodłowej" ale nawet w nowoczesnej i aktualnej „Róży" — przepysznemi archaizmami, tu zdobywał nietylko znajomość realjów, pozwalającą mu wniknąć fachowo niemal w sprawy codzienne przeszłości, ale również trafiał tutaj na interesujące tematy, na których oparł całą serję opowieści o charakterze podaniowo-legendarnym. Należą do niej „Legenda o bracie leśnym", już samym tytułem wskazująca swe niemiecko-szwajcarskie pochodzenie („der Waldbruder" bowiem jest synonimem pustelnika), „Powieść o Udałym Walgierzu", nowele wreszcie w tomie „Wiatr od morza" [2], nie mówiąc już o drobnych epizodach i wzmiankach, rozsianych w szeregu dzieł większych, powieści i dramatów. Do kategorji tej należy również niezwykle interesująca, a w studjach nad twórczością Żeromskiego niemal zupełnie niewyzyskana opowieść-legenda „Aryman mści się".

Nazywam ją niezwykle interesującą, legenda ta bowiem (ogłoszona w „Ateneum" w lutym 1901) wyrosła najprawdopodobniej ze skrzyżowania najgłębszych przeżyć osobistych pisarza z rezultatami jego studjów filozoficznych i literackich, silnie akcentowanemi w dziełach późniejszych, dzięki czemu „Aryman" zajmuje pozycję bardzo ważną w biografji literackiej Żeromskiego. Z jednej więc strony, czytając refleksje pustelnika, pochylonego nad synem-jedynakiem, takie jak: „pragnę, żeby moje męczarnie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał", trudno nie dosłuchać się w nich bardzo intymnych przeżyć młodego ojca, pogrążonego w zadumie

---

[1] W. Borowy: „Dziś i wczoraj", Warszawa 1934, 80—125. Tow. Wydawnicze „Rój".
[2] W. Kubacki: eromski a legendy średniowiecza, Pam. Lit. 1934 (szkic o św. Wojciechu w „Wietrze od morza").

nad łóżeczkiem synka i usiłującego przewidzieć, jak się losy dziecka w przyszłości ułożą[1], przeżyć, które w jakiś tajemniczy sposób zespoliły się w jedność z egzotyczną powiastką o pokusach nawiedzających pustelnika tebaidzkiego. Z drugiej znowuż strony fakt, że powiastkę tę Żeromski rzucił na tło kulturalne manicheizmu, wskazuje na sferę zainteresowań historyczno-filozoficznych u autora „Promienia", tych zainteresowań, które zaspokoić usiłował w lekturze jakiegoś dzieła czy dzieł o dziejach wczesnego chrześciaństwa, w lekturze, której żywe pogłosy wejdą z biegiem czasu w postaci wysoce artystycznej, bo w formie głębokiego dialogu do „Popiołów". Te właśnie względy decydują o niezwykłem znaczeniu niepozornej na pierwszy rzut oka opowieści o „Arymanie" w dziejach twórczości Żeromskiego.

2. Struktura „Arymana". Na treść opowieści złożyły się trzy epizody, doskonale zespolone w całość artystyczną, tak że dopiero znajomość ich pochodzenia pozwala dojrzeć w nich rzeczy, początkowo sobie zupełnie obce, mianowicie opowieść o Dioklesie i jego synu, sen Jana i scena pokusy.

Pierwsza z nich to dzieje człowieka, który „zbliżając się do szczytu wyniosłości życia, zwracał jeszcze spojrzenie w stronę krainy przebytej", który, idąc za przewodem „wielmożnej myśli Manesa", zdecydował się porzucić otaczającą go świetność i zamieszkać na pustyni, wzorem anachoretów tebaidzkich. Epizod ten, skomponowany tak, że mógłby stanowić całość samodzielną, w ujęciu Żeromskiego pełni funkcję prologu; Dioklesa na dawnej drodze usiłuje zatrzymać „pokusa szatana", syn z niewolnicy spłodzony; Diokles początkowo chce brutalnie zdeptać to ogniwo, wiążące z życiem, nowe jednak i nieznane uczucie wynikłe z odszukania w niemowlęciu samego siebie, bierze górę; w pełnych Salomonowej głębi słowach pasuje on niemowlę na swego spadkobiercę:

> „Synu mój, synu...
> Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twe serce, jak iskra ognia. Pragnę, żeby moje męczarnie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał. Pragnę, żeby z ducha twojego wyrosło, jak czyn, moje serce, zdławione rękoma nieszczęścia.
> . . . .
> Posiądź szczęście. Bądź nieśmiertelny sam w łonie swem, bądź wieczny, tu, za życia, i niechaj wieczne będzie twe ciało".

By pragnienia te zrealizować, Diokles zabiera chłopca do pustelni, tam wychowa go zdala od ludzi, zwłaszcza od kobiet, wie bowiem, że „miłość do kobiety i płodzenie z nią dzieci sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materję", tam Jan spocznie kiedyś wśród zwłok świętych anachoretów, „nie dotkniętych przez zgniliznę", zda się, „uśmiechających się do widzeń ducha".

Epizod drugi stanowi złowróżbną zapowiedź rezultatów owego pragnienia. Tuż przed śmiercią Diokles-starzec otrzymuje jakgdyby ostrzeżenie, wskazujące, że droga, wybrana przezeń dla Jana, niekoniecznie do celu dowiedzie. Jan opowiada mu swój sen o „dziwnych istotach", mających długie włosy, okrągłe piersi, purpurowe usta, istotach, których nigdy nie widział, a które wołały nań po imieniu. Młodzieniec z przerażeniem do-

---

[1] Adam Żeromski ur. 8 września 1899. miał niespełna półtora roku w chwili ogłoszenia „Arymana".

wiaduje się od ojca, który „siedział milczący, z głową w dłoniach ukrytą", że „to są szatany".

Z jednym z tych szatanów młody pustelnik styka się rychło po śmierci ojca. Szukając w modlitwie i myślach o ojcu ratunku przed straszliwą pokusą, płynącą z postaci i namiętnych słów uroczej dziewczyny, Jan spala kolejno, przez noc całą, palec po palcu w kamiennej misie-kagańcu, rano zaś spostrzega, że piękna kusicielka nie żyje.

A potem, wygrażając opalonym kikutem ręki, przeklina pamięć i naukę ojca, „łakomego zżeracza i zawistnego tępiciela szczęścia", i kończy:

„Dobry jest szatan i państwo jego rozkoszy: noc.

Niech będzie błogosławiony szept jego cichy i niech zagaśnie w piersi mej płomień twój".

Trzy te etapy dziejów Jana, zakończone niesamowitą w swej ekspresji litanją do szatana, skonstruowane są z dramatyczną precyzją, bez śladu szwów, tak że przypuścić trudno, że stopienie ich w jednolitą całość artystyczną dokonało się dopiero w wyobraźni Żeromskiego, że genetycznie reprezentują one trzy samodzielne wątki.

3. Diokles i Jan. Największe trudności sprawia zidentyfikowanie pierwszego z nich, dziejów Dioklesa. Żeromski robi tego Greka egipskiego wyznawcą manicheizmu i ustami jego, jak potem ustami Gintułta, wykłada zasady tej prastarej herezji, naukę o stosunku ducha do materji, o pieczęciach od grzechu chroniących, o przyjściu Parakleta-pocieszyciela. Samego zaś Dioklesa stawia w sytuacji kapłana manichejskiego, Fortunata, którego biografję każe przeżywać księciu pod wpływem lektury pism św. Augustyna, wymierzonych przeciw manichejczykom [1].

W ujęciu manicheizmu Żeromski reprodukuje tu prawdopodobnie wiedzę, zdobytą z lektury jakiegoś dzieła w rodzaju Harnacka, dzieła, którego wskazać nie umiem [2]. Równocześnie jednak rozważania Dioklesa stylizuje na sposób „Przypowieści" Salomona, samej zaś decyzji magnata, zmieniającego się w pustelnika, nadaje kształt, znany z tradycji literackiej, trudny jednak do zidentyfikowania [3].

---

[1] Rzecz całą niezmiernie komplikuje fakt, że biografja ta (w rozdziale „Gnozis", Popioły, 1928, 2, 39—56) jest, jak się zdaje, fikcyjna, choć robi wrażenie sprawozdania z dzieła św. Augustyna. Gintułt, biorąc za punkt wyjścia, wzmiankę u wielkiego teologa („Opera divi Augustini", Basil., Froben 1528, VI. 109—19 i I. 18), że pokonany przez niego w dyspucie Fortunatus opuścił Hipponę, prześlicznie fantazjuje na temat pobytu manichejczyka w pustelni, na temat jego poglądów na naturę zła, myśli o szczęściu ludzkiem, o stosunku ojca do syna, kończy wreszcie decyzją: „Oto powiedział w duchu swym Fortunatus, że złem jest ojcostwo i rodzenie. Zaprzysiągł przed swoją duszą, że nie chce mieć syna, że zamordowałby zrodzonego wpośród grzechów" (54). Być może, że fantazja Gintułta odtwarza żywot któregoś z pustelników tebaidzkich, wykluczone jednak nie jest, że stanowi ona tylko warjację na temat „Arymana", z którym spokrewniona jest i tematem i tonacją uczuciową.

[2] W analogiczny sposób ujmuje zasady manicheizmu, od Żeromskiego zresztą później, J. A. Święcicki w swej kompilacyjnej „Literaturze perskiej" (Historja literatury powszechnej, 1902. t. 5, cz. I, 113—20).

[3] Podobne motywy mają Krasiński w „Irydjonie" (Masynissa i młodzieniec) i Kipling w „Księdze dżungli" (Cud Purun Bhagata), eromski zresztą spotykał je również w „Vitae patrum", — w pismach św. Hieronima i Augustyna.

Inaczej ma się rzecz z epizodem drugim, snem Jana. Źródło jego stanowi typowa anegdota wędrowna. Młody wychowanek pustelnika, przybywszy do miasta, widzi po raz pierwszy kobiety i pyta, co to takiego, dowiaduje się od zgorszonego wychowawcy, że to szatany, czyhające na dusze ludzkie, po powrocie zaś do pustelni, zapytany, co w mieście najbardziej mu się podobało, bez wahania odpowiada, że szatany, kusiciele człowieka. Powiastka ta, pochodząca z Indyj, gdzie występuje w „Mahabharacie" i „Ramayanie", w Europie przyjęła się już od w. VIII conajmniej, czytywana w budującym romansie duchownym o „Barlaamie i Jozafacie" [1], weszła do kazań i do nowel, wyzyskał ją bowiem w „Dekameronie" Boccaccio, zachowała się wreszcie w tradycji ustnej, jak dowodzi anegdota o „Djabełkach", zapisana w Warszawie pod koniec ubiegłego stulecia [2].

W owych wersjach międzynarodowych, nie wyłączając nawet poważnego „Barlaama", powiastka ma stale charakter komiczny [3]; wyjątek stanowią bodajże tylko „Vitae patrum", w których młodzieniec, niemowlęciem przez ojca na pustynię zabrany, widzi we śnie pokusy szatańskie w postaciach niewieścich; stwierdziwszy w mieście, że kobiety zna z owego snu, w zdumienie wprowadza starego ojca, który całej sprawy zrozumieć nie może. U Żeromskiego, który idzie tu za „Vitae patrum", facecja, wkomponowana w całość utworu o charakterze hieratyczno-posępnym, zmienia swe zabarwienie zgodnie z funkcją, którą autor jej przeznaczył. Jan z uniesieniem opowiada o uroku trzech urodziwych postaci, które w widzeniu sennem zobaczył. „Z ust mych — kończy — gdym na nie patrzał, wydzierało się senne, obumarłe łkanie. Patrzałem, czyli z ich ramion nie wyrastają skrzydła, jak to mówiłeś o aniołach". Otrzymawszy od zgnębionego tą opowieścią starca, krótką odpowiedź: „To są szatany. — Szatany... konającym głosem powtórzył Jan. Zamilkł w zdumieniu i wzrokiem pełnym boleści przed siebie spoglądał".

Facecja sposępniała, padł na nią bowiem cień epizodu następnego, opowieści o pokusie, łamiącej młodego pustelnika.

4. Scena pokusy. Powiastka ta, równie jak poprzednia, należy do repertuaru wędrownego, ograniczonego zresztą i czasem powstania i charakterem środowiska, w którem trwała przez wieki. Wywodzi się mianowicie z ogromnego cyklu dość monotonnych i stereotypowych opowiadań o pustelnikach w samotniach Tebaidy, o ascetach, pędzących życie w trudach pracy fizycznej i ciągłych walkach z szatanem, który kusi ich do grzechu pychy i zwłaszcza grzechu nieczystości. Od widzeń uroczych kusicielek, które szatan zsyła na pustynię lub w których postaci sam do anachoretów się zbliża, roją się ich żywoty, począwszy od przypisywanych św. Hieronimowi „Vitae Patrum" [4], podobnie jak znacznie późniejsze ży-

---

[1] J. Jacobs: „Barlaam and Josaphat", London 1896, 87—8.

[2] Wisła 1897, 11, 109 (Korotyński „Djabełki"). W systemie Aarne-Thompsona Mt 1678.

[3] T. F. Crane: „The Exempla of Jacques de Vitry", London 1890, 37 № 82, oraz str. 169—70, gdzie podano obfitą bibljografję krytyczną, między innemi „Vitae patrum" r. 30 (Migne, „Patrologia" 73, 561). Por. „Vitae Sanctorum Patrum", Col. 1548. XIII. Q № 7.

[4] Zbiór ten ok. r. 410 z greckiego przełożono na łacinę. Por. E. A. Wallis Budge: „The Paradise or Garden of the Holy Fathers", London 1907.

woty zakonnic, nękanych obsesją chuci pod koniec średniowiecza [1]. Motywy te przewijają się w stuleciach późniejszych w traktatach moralistycznych, w kazaniach i przykładach kaznodziejskich, wywołując w czytelniku dzisiejszym wrażenie przygnębiającej monotonji, święci bowiem pustelnicy nie grzeszą nadmiarem pomysłowości w zwalczaniu pokus i uciekają się zazwyczaj do oczyszczającej siły ognia, przyczem doznają pomocy niebieskiej; jeden więc przeraża nierządną kusicielkę, sporządzając dla siebie i dla niej łoże z węgli rozżarzonych, inny boso po węglach chodzi i t. d. [2].

Z powiastek tych, znanych zresztą w naszej tradycji ludowej [3], najciekawsza jest ta właśnie, której wyraźną odmianę spotykamy u Żeromskiego, t. j. opowieść z „Vitae Patrum" o pustelniku, który, by uniknąć grzechu, poupalał sobie palce u ręki, czem przerażona kusicielka zmarła, on jednak cudownie przywrócił jej życie [4].

Urodziwa nierządnica zakłada się z przyjaciółmi, że uwiedzie „pewnego pustelnika w dolnym Egipcie", starca „słynnego z pobożności". Przybywszy do eremu, udaje zabłąkaną i zastraszoną przez dzikie zwierzęta i błaga pustelnika, by pozwolił jej w celi przenocować. Pustelnik wpuszcza grzesznicę, lecz na widok jej (wedle wersyj późniejszych sprowokowany widokiem jej nóg), poczyna odczuwać gwałtowne pokusy. Wówczas zapala kaganek.

„A gdy zapalił się żądzą, mówił: „ci, co takie rzeczy czynią na męki idą. A więc spróbuj się tutaj, czy potrafisz wytrzymać ogień wieczny". I wetknął palec swój w kaganek. A gdy go przypiekł, z powodu dużego płomienia, nie czuł już pożądania cielesnego. I robiąc tak aż do rana, odpalił sobie wszystkie palce. Owa zaś nieszczęśliwa, widząc, co czynił ten starzec, ze strachu stała się, jak kamień".

Gdy przyjaciele jej rankiem przybyli do celi i zapytali o nią, pustelnik wskazał im postać leżącą, a „wszedłszy, znaleźli ją martwą". Pobożny męczennik nie chce jednak złem za zło, śmiercią za krzywdę swą, płacić, wskrzesza więc martwą, która od tej chwili nawraca się na drogę cnoty.

W streszczenie to umyślnie wplotłem urywek, przedstawiający moment kulminacyjny opowieści, w przekładzie, rzut oka bowiem na „Arymana" dowodzi, że u Żeromskiego mamy właśnie przekład niemal że dosłowny tekstu łacińskiego [5]. Jan więc, natchniony tajemniczym głosem ojca, mówi:

— Świętego apostoła są słowa: [a] „którzy takie sprawy czynią, na męki idą".
[b] Patrzże, jak płonie ogień wieczny i jak się pali grzeszne ciało, które rozkosz nawiedziła.

---

[1] Por. J. Ptaśnik: „Kultura wieków średnich", Warszawa 1925 (r. 4 „Legendy o ascezie" dobrze charakteryzuje szablon żywociarski).

[2] Por. rozdziały o „Czystości" i „Nieczystości" w jezuickiem „Wielkiem zwierciedle przykładów", kilkakrotnie wydawanem w w. XVII.

[3] ZWAK 16, 64 № 8 (Wierzchowski „O babie pokusie"), powiastka zapisana w Sandomierskiem, oparta o motywy „Wielkiego zwierciadła".

[4] Diui Hieronymi in vitas patrum percelebre opus, Lugduni 1520, Fo CXII v. a. To samo u Jakuba de Vitry (№ 246), w „Biga Salutis", 1515 i t. d. i t. d. Bibljografję tej powiastki podają Crane, 237 i M. Gaster „The Exempla of the Rabbis", London 1924, 84 № 136. W wersjach żydowskich rabin oślepia się, by ujść pokusy, i cudownie odzyskuje wzrok.

[5] Et cum inflammaretur desiderio, dicebat: [a] quam qui talia agunt, in tormenta vadunt. [b] Proba te ipsum ex hoc, si potes sustinere eternum ignem. [c] Et mittebat digitum suum in lucernam. [d] Quem cum incendisset, ardorem non sentiebat — propter nimiam flammam — concupiscentie carnalis. [g] Et ita usque mane faciens, incendit omnes digitos. [e] Illa autem infelix, videns, quid faciebat senex ille, timore velut lapidea facta est. [f] ...ecce ubi dormit.

c A gdy te słowa wymówił, podniósł rękę prawą i wskazujący palec włożył w płomień ognia, co na misie kamiennej pełgał. I stał tak dotąd nieruchomy, aż się palec zatlił, rozpalił i gorzał.
d Wtedy dla wielkiego cierpienia przestał pustelnik czuć rozkosz widoku piękności.
e A ona, widząc co czynił, z przestrachu jak kamień się stała.
f ...Tak aż do rana w prochu nieruchomo leżała.
g I aż do rana w milczeniu to samo uczynił, aż u prawicy poupalał wszystkie palce.

Ustęp ten doskonale zresztą harmonizuje z koncepcją i charakterem opowieści, wyróżniając się bowiem swą prostotą i surowością wśród ruchliwej, lirycznie rozfalowanej prozy epizodu miłosnego, silnie podkreśla tragiczny przebieg momentu przełomowego i przygotowuje grunt dla ostatnich, najsilniejszych akordów, owej buntowniczej modlitwy do szatana.

5. Stylizacja legendy. Słów kilka jeszcze poświęcić należy osobliwej stylizacji „Arymana", utworu wręcz wypieszczonego, oprawiającego stare powiastki w jednolitą a niezwykle staranną szatę słowa. Już tedy jego układ graficzny wskazuje na przelewność rytmu, osiągniętą przez bardzo obfite użycie anafory, przez równoległe powtarzanie pewnych wyrażeń o silniejszem zabarwieniu uczuciowem, przez konstrukcję zdań — jak w przytoczonym urywku — znaną z łaciny, umieszczającą, częściej nawet niż w średniowiecznym tekście łacińskim, orzeczenie na końcu zdania. Dzięki tego rodzaju ornamentyce proza „Arymana" robi wrażenie prozy poetyckiej, i to prozy biblijnej, dostosowanej do tematu opowieści.

Wrażenie to potęguje się dzięki obfitemu posługiwaniu się archaizmami, znanemi zwyczajnemu czytelnikowi przedewszystkiem z biblji. „Duch żywota", „tajemnica żywota", „żywiące promienie", „który w puszczy żywiesz", „dlań", „miedź puklerzów", „odejdź w pokoju", „prawica słońca" — oto kilka charakterystycznych przykładów.

Są one tem ciekawsze, że pewne ustępy opowieści wykazują zupełnie wyraźne, choć odległe pokrewieństwo z biblją, zwłaszcza z księgami Salomona. Już poprzednio wspomniałem, że rozważania Dioklesa przypominają „Przypowieści" Salomonowe. Owe „Synu mój, synu... Nie chcę, żebyś był panem... Synu mój, synu... Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi... Synu mój, synu... Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twe serce... Synu mój! Bądź czystym, który oburącz wynosi z mroków światło słońca"... i samą rytmiką i słownictwem i nawet składnią (w zdaniu ostatniem) przypominają wersety Księgi Przypowieści w rodzaju: „Synu mój! nie zapominaj zakonu mego, a przykazań moich niech strzeże serce twoje. Przedłużenia bowiem dni i lat żywota i pokoju przydadzą tobie. (3, 1—2). — Drogę mądrości ukażę tobie, poprowadzę cię ścieżkami prawości. Któremi gdy pójdziesz, nie będą ściśnione kroki twoje... (4. 11—12). Synu mój! bądź pełen mądrości mojej, a ku roztropności mojej nakłoń ucha twego. Abyś strzegł myśli, a wargi twe naukę zachowały. Nie słuchaj głosu chytrości niewieściej". (5. 1—2) [1].

Jeszcze wyraźniej stylizacja biblijna występuje w scenie ostatniej, w wspaniałych wyznaniach dziewczyny-kusicielki i udręczonego pustelnika. Wyznania te dźwięczą zupełnie wyraźnie odgłosami „Pieśni nad Pieśniami". Już inscenizacyjny opis palankinu, w którym „szkarłatne chusty zasłaniały

---

[1] Cytuję przekład Wujka.

jego wnętrze a złota frendzla wlokła się z szelestem po ziemi", przypomina lektykę króla Salomona z „poręczami złotemi, podniebieniem szarłatowem" (3. 10), opowieść zaś dziewczyny, „pisklęcia synogarlicy", której sny „w wąskiem łóżku dziewiczem" spełniły się, gdy po dalekiej wędrówce, w której „biegła" (na ramionach murzynów!) do nieznanego kochanka, pełna jest wyrazów i zwrotów, znanych z „kantyku", takich jak: „piękne są jagody lica twego jako synagorlice" (1. 9), „na łóżku mojem w nocy szukałam tego, którego miłuje dusza moja" (3. 1), „wstanę a obieżę miasto... szukałam go a nie nalazłam" (3. 2), — a analogicznych paralelizmów z łatwością wskazaćby można więcej. Do nich należy również okrzyk, nawiązujący do wierzeń Janowych, czy może bezwiednie je parodjujący: „— Waleczny, Skazany, Przybity do krzyża, ty co z wieczności wyciągasz prawicę do duchów jasnych, wyciśnij pieczęć na piersi mej. Tyś jest mój Pan jedyny i skała moja". Jego odpowiednik biblijny brzmi: „Przyłóż mię, jako pieczęć do serca twego, jako pieczęć do ramienia twego; bo mocna jest jako śmierć miłość, twarda jako piekło rzewliwość"... (8. 6). Przedewszystkiem jednak odpowiedź Jana na pytanie „czyżem nie piękna?", odpowiedź w formie katalogu porównań i metafor, zresztą o treści obcej biblji, zbudowana jest wedle znanego schematu zachwytów nad urodą Sulamity. Jan mówi: „piękne są oczy twoje... piękne są ręce... i długie włosy... piękniejsze jest czoło twe... szyja twa chowa się...", „Pieśń nad pieśniami" zaś: „O jakożeś piękna, przyjaciółko moja! o jakożeś piękna! oczy twoje gołębie... włosy twoje jako... zęby twoje jako... jako wieża dawidowa szyja twoja... dwie piersi twoje jako"... Te właśnie elementy decydują o swoistym, hieratyczno-biblijnym kolorycie „Arymana", dostosowanym do jego treści filozoficznej i do jego tła historyczno-geograficznego.

Dzięki temu zespoleniu treści i formy, legendarna opowieść Żeromskiego, osnuta na motywie z hagjografji tebaidzkiej, z której chętnie czerpali w drugiej połowie w. XIX. pisarze tej miary, co Flaubert, G. Keller, A. France czy L. Tołstoj [1], w szeregu utworów, — wyzyskujących niekiedy ten sam nawet motyw — zajmuje miejsce swoje własne, odrębne.

Warszawa. *Juljan Krzyżanowski.*

---

[1] G. Flaubert „La tentation de Saint Antoine (1849). — G. Keller: „Sieben Legenden" (1872; przekł. Toma „Siedem legend", 1922). — A. France „Thaïs" (1891). — Tu należą również: pośmiertnie wydany „Ojciec Siergij" Tołstoja, opowieść o pustelniku, odrąbującym sobie palec, oraz — (jak mi to uprzejmie wskazał dr. S. Kułakowski) — nowela Leskowa „Góra" (oślepienie się, jak w przykładzie rabinistycznym).

PAUL ADAM I »POPIOŁY« ŻEROMSKIEGO

„Popioły" w dziejach polskiej powieści historycznej zajmują miejsce odrębne; napróżnoby szukać tu jakiegoś utworu, zbliżonego do nich kompozycją, stylem, ujęciem przeszłości, postawą autora.

Odpowiednik znaleźć można gdzieindziej i to odpowiednik, który zapewne nie pozostał bez wpływu na powieść Żeromskiego. Chodzi tu o głośnego niegdyś, dziś nieco zapomnianego pisarza francuskiego Paul Adama. W jego blisko sześćdziesięciotomowym dorobku literackim poczesniejsze miejsce zajmuje tetralogja z czasów Napoleona i Restauracji, na którą składają się powieści: „La Force" (1899), „L'Enfant d'Austerlitz" (1902), „La Ruse" (1903) i „Au Soleil de Juillet" (1903). Jak z dat ich wydania wynika, przy porównaniu z „Popiołami" można brać pod uwagę tylko pierwszą część tej tetralogji, skoro „Popioły" zaczęły wychodzić w „Tygodniku Illustrowanym" od maja 1902 r. Żeromski przy swej pasji pochłaniania książek niewątpliwie znał powieść Paul Adama, tembardziej, że ukazała się ona w czasie, kiedy pracował nad dziełem, osnutem na tle tej samej epoki.

Paul Adam już rozwojem swej twórczości przypomina Żeromskiego. Obydwaj zaczęli od naturalizmu, by potem poddać się neoromantycznemu liryzmowi przy równoczesnem działaniu wpływów rosyjskich; dla obydwóch naczelnem wskazaniem moralnem było przezwyciężanie egoizmu, wzgląd na krzywdę bliźniego [1]. Co najbardziej jednak zbliża obydwu pisarzy to współistnienie w ich dziełach brutalnego naturalizmu z ekstatycznym liryzmem. Oczywiście Adam nie byłby Francuzem, gdyby w nim intelektualizm nie paraliżował pędu uczuciowego; u Żeromskiego pęd ten jest dużo silniejszy i stanowi główny urok jego dzieł.

Wynikiem tej uczuciowości jest kompozycja „Popiołów", która w zakresie powieści historycznej jest unikatem, zbliżonym jedynie do kompozycji powieści Adama. Luźne fragmenty, z których każdy stanowi odrębną całość, każdy sugeruje pewien nastrój — to również kompozycja „La Force" i innych powieści Adama. Oto co pisze o tem powieściopisarz i krytyk L. Bertrand: „W książkach Paul Adama niema akcji w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nic się nie zaczyna, ani nie kończy. Każdy rozdział zmierza do oddania wrażenia samego ruchu życia, który ulega w pewnych chwilach przyśpieszeniu w sposób gwałtowny, halucynacyjny. Wszystko się miesza ze sobą, wszystko się plącze, krzyżuje, jedno o drugie potrąca... Jego kompozycja jest całkiem impresjonistyczna; zna ona tylko ruch i ustawiczne przechodzenie wrażeń jednych w drugie" [2].

Słowa te możnaby też zastosować do „Popiołów".

Natężenie uczucia odbija się silnie też na stylu obu pisarzy. Język Adama ma podobną, choć nie tak potężną jak u Żeromskiego żywiołowość, jest rwącym potokiem superlatywów, synonimów i słów o wysokim ładunku emocjonalnym. Irytowało to purystów francuskich, a sam Adam tak się bronił przed zarzutami E. Faguet'a: „Wyrzucając mi używanie

---

[1] Najlepszym przewodnikiem po twórczości Adama jest monografja C. Mauclair'a: Paul Adam. Paris, Flammarion, 1921.

[2] L. Bertrand: „Le mystère des foules et l'oeuvre de P. Adam" w zbiorze: „Idées et portraits", Paris, Plon, 1927, str. 108.

czterdziestu słów zamiast jednego, odmawia Pan stwierdzenia, że próbowałem oddać równocześnie gest, myśl, wizję, refleks podświadomości, zapowiedź przyszłości dalszej lub bezpośredniej, uczucia przejęte od rozmówców danej osoby według jej szczególnej percepcji, wreszcie linje dekoracyj i krajobrazu lub ruch tłumu" [1].

Być może, że ta maniera Adama wywarła pewien wpływ na Żeromskiego, tembardziej, że „Popioły", a potem „Dzieje grzechu", stanowią szczyt w rozwoju jego stylu patetycznego [2]. Oczywiście nie znaczyło to, żeby Żeromski miał w tem naśladować swego francuskiego poprzednika; nie jest jednak wykluczone, że przykład Adama przyczynił się do wyładowania tkwiących w jego naturze tendencyj i skłonił do zastosowania do powieści historycznej takiej właśnie formy i takiego stylu.

Adam, jak Żeromski, potrafi być świetnym realistą w stylu Flaubert'a i równocześnie mistrzem w oddawaniu drgień duszy, najszybciej mijających odcieni jej stanów. Obydwaj też lubią przedstawiać wypadki zapomocą wrażeń, jakie wywołują one w duszach bohaterów. Zwłaszcza charakterystyczne jest to w obrazach bitew, opisywanych zawsze ze stanowiska osób, biorących w nich udział. Jest to metoda użyta w obu powieściach niewątpliwie pod wpływem „Wojny i pokoju" Tołstoja (jeśli nie „Pustelni parmeńskiej" Stendhala); gdy jednak powieściopisarzowi rosyjskiemu chodziło raczej o spokojny, epicki opis, Żeromski zbliża się do Adama intensywnością przeżyć, jakiemi wyposaża swych bohaterów. Oto fragment opisu bitwy, przeżywanej przez bohatera „La force" Bernarda Héricourt:

Jeux des couleurs et des clameurs, spectacle des forces en marche, cris solennels du canon, rythme éblouissant des jambes de chevaux qui trottaient partout sur la verte terre, évolutions des lignes rompues, rattachées, enforcées, réunies, bandes des baïonnettes lumineuses, floraison des plumets en masse, essors des hussards lancés à tire d'aile... cela pénétrait Héricourt au moyen de toutes les sensations visuelles, auditives, tectiles aussi, puisque son cheval écumeux chauffait ses cuisses et que la dragonne du sabre liait sa main. En lui la bataille se déployait; elle chantait dans la fièvre de son sang. Elle envahit ses narines avec l'odeur de la poudre que le vent apporta de deux pièces instanément braquées à gauche du tertre où ils soufflaient, bêtes et gens [3].

W ten sam sposób przez zespół wszystkich wrażeń zmysłowych lubi przedstawiać wypadki Żeromski; jako przykład może tu najlepiej posłużyć opis przeżyć Gintułta, chłonącego pełnią zmysłów dzieło zniszczenia w czasie oblężenia Mantui [4].

Inna cecha łącząca opisy wojenne obu pisarzy — to okrucieństwo, pastwienie się nad sobą i czytelnikiem przez nagromadzenie okropności, mających oddać grozę wojny. Nie są to ilustracje do piosenki „Jak to na wojence ładnie", ale raczej przywodzą na myśl wstrząsający cykl wojennych sztychów Goyi. Pod tym względem był Żeromski nowatorem w literaturze polskiej, i za to otrzymał epitet „krzewiciela zdziczenia" [5]. Paul Adam również nie szczędzi efektów przejmujących dla odmalowania koszmarnej okropności wojny.

---

[1] List cytowany u C. Mauclair'a, l. c. str. 248.
[2] St. Adamczewski: „Serce nienasycone", Poznań, 1930, str. 397 i n.
[3] P. Adam: „La Force". Paris, Flammarion, 1921, t. I. str. 128—9.
[4] „Popioły". Wyd. siódme. Warszawa—Kraków, 1927, t. I. str. 331 i n.
[5] Por. J. Baudouin de Courtenay: „Krzewiciele zdziczenia". Kraków, 1905.

Charakterystycznym rysem dla Adama i Żeromskiego jest łączenie erotyzmu z instynktami, rozbudzonemi przez walkę. Żołnierze w Saragossie łakną krwi i kobiet; w powieści Adama masowe gwałcenie jest nieodzownym finałem każdej zwycięskiej bitwy. Opisując je autor nie krępuje się wcale konwencjami, jak nie krępuje się niemi wogóle w opisach miłości: „mówić jak się kocha nie jest bardziej godne nagany, niż mówić jak się je lub jak się chodzi" — oto własne słowa Paul Adama [1]. Choć lubuje się przedewszystkiem w malowaniu miłości zmysłowej, umie jednak oddać, nieraz dla kontrastu bezpośrednio po niej, idealne zachwyty miłosne. Pod tym względem przygoda Cedry z „doncellą" podczas oblężenia Saragossy, będąca przez swój egzaltowany liryzm pewnego rodzaju sciszeniem po wstrząsających fortissimach walk, ma bardzo podobny epizod w „La Force": po jednej z bitew, wśród ogólnego rozpasania żołnierzy Bernard Hêricourt spotyka niebieskooką dziewczynę, o której pamięć pozostanie dlań nazawsze najmilszem wzruszeniem miłosnem; odtąd w oczach kobiet będzie szukał tylko jej spojrzenia i myślą o niej pożegna się ze światem na pobojowisku pod Wagram.

Stosunek obydwóch pisarzy do wojny nie jest jednak bezwględnie negatywny. W „La Force" jest ona środkiem do zaprowadzenia „idei łacińskiej" w Europie i stworzenia jedności gallo-rzymskiej, jako przeciwieństwa germanizmu; Żeromski w wysiłkach legjonów widzi szkołę hartu duchowego i wyrobienia narodowego. Obydwaj potrafią zobaczyć w wojnie heroizm i jej straszliwy urok, ale także jej okropność, chociażby prowadzona była dla wzniosłych ideałów. Zresztą nawet taka wojna zmienia się bardzo prędko w żołnierkę dla żołnierki; ideały gubią się po drodze, a ich miejsce zajmuje bezpośredni zysk lub sama namiętność walki. Podkreślał to Żeromski w „Popiołach" i naraził się z tego powodu na zarzuty ze strony recenzenta [2]. Jeden zaś z krytyków powieści Adama zwrócił uwagę na trafność przedstawienia w niej takiej właśnie ewolucji francuskiej armji republikańskiej [3]. Każda też wojna rozbudza w żołnierzach instynkty zwierzęce i ślepą „siłę", szerzącą zniszczenie: widać to doskonale z opisów wojennych. Przypomnijmy tu jeszcze scenę ściągania koni w Wenecji i oburzenie Gintułta — Żeromskiego, a w „La Force" epizod, kiedy po bitwie pod Austerlitz oficerowie próbują swych sił demolując pałac, a kończą wyrzuceniem przez okno „śmiesznego" uczonego, który pracował nad lekarstwem, mającem uzdrowić ludzkość. Obydwa przykłady bezmyślnego niszczenia przez wojnę dóbr duchowych i umysłowych.

Tak więc wojna jest zła, choć bywa dobra — i w tem też przejawia się wielopostaciowość życia, koncepcja tak charakterystyczna dla twórczości Żeromskiego. Charakterystyczna też dla Adama, o którego logice pisano: „Jest to logika, która pozwala socjaliście być przywiązanym do pewnych tradycyj, republikaninowi być tolerancyjnym, internacjonaliście być patrjotą, antymilitaryście być stronnikiem pewnych czynów wojennych [4].

Ktoby pomyślał, że słowa te odnoszą się do kogo innnego, a nie do Żeromskiego?

Katowice. *August Grodzicki.*

---

[1] C. Mauclair, l. c. str. 250.

[2] W. Tokarz: Epoka napoleońska w „Popiołach". „Przegląd Wszechpolski" 1904.

[3] G. Deschamps w „Le Temps" z 29.I. 1899.

[4] F. Jean-Desthieux: Le dernier des Encyclopédistes — Paul Adam. Paris, Boivin, 1928, str. 229.

O LIKWIDACJĘ KRZYWDY ŻEROMSKIEGO

ZE STUDJÓW NAD TEKSTEM TWÓRCY »POPIOŁÓW«

Istnieje pewna forma krzywdy pośmiertnej pisarzy, która — by użyć dosadnego wyrażenia prof. Stanisława Pigonia — dyskredytuje gruntownie „racjonalność naszej gospodarki kulturalnej". Pojawia się zaś zazwyczaj wtedy, gdy dzieła ich są albo niedostępne dla społeczeństwa, bo nieobecne na rynku wydawniczym (Orzeszkowa, Dygasiński), albo dostępne w zniekształconej postaci, gdy więc w obydwu wypadkach w zasadzie są nieczytelne[1].

1. W studjum p. t. „Jakiego Żeromskiego znamy?" poruszyłem przed dwoma laty zagadnienie krzywdy pośmiertnej poety. Na niewielkim odcinku twórczości piewcy „Wiatru od morza" ujawniłem kompromitujący poziom poprawności jego tekstów, sformułowałem też na tej podstawie postulat natychmiastowej likwidacji tego stanu rzeczy. Postulat zupełnie uzasadniony, skoro w „Roczniku Literackim", prof. Manfred Kridl, bez ogródek nazwał „przerażającym" materjał ujawnień, zawarty w cytowanej publikacji. Wymowa tego epitetu jest przecie niezwykle dobitna.

Gdy wspomniany drobiazg tekstologiczny oddawałem do druku, głucho jeszcze było o Polskiej Akademji Literatury. Może dopiero na biurku referenta ministerjalnego smażył się projekt ustawy ustrojowej? Pojawienie się jednak tego drobiazgu na kartach „Przeglądu Współczesnego" zbiegło się w dość bliskim terminie z jej inauguracją. Może więc z tej racji właśnie spotkał mnie niecodzienny zaszczyt, że poruszoną przeze mnie sprawę odrazu związano w prasie z zadaniami tej naczelnej polskiej instytucji literackiej. Uczynił to w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym", prof. Tadeusz Sinko. Końcowy apel jego artykułu brzmiał niezwykle interesująco: „Ale to wołanie przebrzmi bez echa, jeśli ktoś nie będzie czuwał nad poprawnością wydań. A któż do takiego czuwania jest bardziej powołany, jeśli nie nowa Akademja Literatury, która miała się nawet nazywać Strażą literatury czy piśmiennictwa? Niejeden z jej członków, widząc swój tekst tak zniekształcony, jak tekst Żeromskiego, wytoczyłby proces swemu wydawcy (były już takie procesy dzisiejszych akademików z — redaktorami...) Oni więc najlepiej zrozumieją krzywdę, jaka się dzieje mistrzowi słowa i dyshonor, jaki stąd spada na spadkobierców jego skarbów, jego dorobku, zasłużonego społeczeństwu..." Apel swój uczony krakowski zaadresował bardzo właściwie; istniały zresztą przesłanki, że nie pozostanie on w sferze pobożnych życzeń. Nowoutworzona bowiem instytucja zaraz u progu swego żywota nawiązała do Żeromskiego, powołując go sobie na patrona w dniu swego inauguracyjnego święta. Nadzieje więc na poważną jej ingerencję kulturalną w tej sprawie, przewidzianą zresztą w ustawie fundacyjnej, były całkowicie uzasadnione. Niestety, poza piękny gest wstępny Polska Akademja Literatury nie wyszła. W ciągu dwu lat swej działalności nie przedsięwzięła nic, żadnego zabiegu, któryby zmierzał do

---

[1] Niektóre fragmenty niniejszego artykułu za zgodą redakcji „Ruchu Literackiego" zamieściłem równocześnie w streszczeniu na łamach „Prosto z Mostu" (№ 46).

usunięcia krzywdy wielkiego pisarza. Słuszny apel prof. Sinki pozostał przeto — bez odpowiedzi.

Zagadnienie krzywdy Żeromskiego jest więc nadal aktualne. Fakt ten uprawnia nieprzesadną formułę tytułowego napisu. Przed dwoma laty zagadnienie to uwidoczniło się na stosunkowo szczupłej podstawie poznawczej. W dziesiątą rocznicę zgonu twórcy „Popiołów" godzi się tę podstawę skutecznie rozszerzyć, podejmując analizę tekstologiczną dalszego odcinka jego puścizny. Ponowna oszczędność w ilościowym doborze przedmiotu badań uwarunkowana jest nietylko trudnościami życia i pracy na prowincji. Wypływa potrosze ze względu na ograniczoną z natury rzeczy pojemność czasopisma, jedynej dziś niemal platformy spotkania się z czytelnikiem. Ważką bezwątpienia cenę tego spotkania okupić trzeba rezygnacją z rozleglejszych przedsięwzięć badawczych. Tem łatwiej wzamian uniknąć poważnego niebezpieczeństwa: wystawiania cierpliwości czytelnika na zbyt ciężką próbę.

Dozowanie szczegółów krzywdy poety nie pozbawia zresztą plastyki samego zagadnienia. Demonstrowane w całości czy na raty w niczem nie traci znamion zdumiewającej jaskrawości zjawiska. Umiejscowione już, jako nieoczekiwane novum, w świadomości fachowych kół naukowo-literackich, oznacza deficytowy w zasadzie bilans włodarzenia wielką puścizną artystyczną Żeromskiego, ze strony tych zwłaszcza, którzy najwięcej mu powinni. I dobrze byłoby, gdyby to wreszcie zechciano zrozumieć. I gdyby fakt ten zdołał zawrócić z manowców doskonałej obojętności oficjalnych przedewszystkiem opiekunów rozległego dziedzictwa poety i w krótkiej drodze doprowadził do całkowitej zmiany na lepsze.

Do rocznicowych rozważań nasuwa się wątek bardzo doniosły i niewesoły.

2. Zaniedbania korekty towarzyszą stale produkcji literackiej Żeromskiego. Nie uniknęły ich nawet pierwodruki, dokonywane za życia i pod okiem autora. Mało zaszczytną tę przypadłość w powojennym okresie jego twórczości dostrzegł tylko jeden z krytyków poety. Nic dziwnego zresztą, że tylko on jeden zwrócił na to uwagę. Dozór przecie nad korektorskiem wyposażeniem dzieła należał do osobistych uprawnień twórcy; nie wchodziła więc w nie krytyka, zwłaszcza, że nie okazując dla tych spraw zbyt wielkiego zrozumienia, wchodzić w nie wcale nie miała zamiaru. Wyjątkowo przeto bacznym i sumiennym krytykiem był dr. Wacław Borowy, gdy przy końcu recenzji „Snobizmu i postępu" stwierdził co następuje: „Lekturę tego powabnego i pożytecznego dziełka uprzykrzają jedynie liczne zaniedbania korektowe, szczególnie dotkliwe w (dość obfitych tutaj) cytatach z tekstów gwarowych i zabytkowych. Spotkawszy „światy" zamiast „śniatów" (str. 154), „cyrckiew" zamiast „cyrekwi" (str. 174) i t. p., można się zbłąkać nie na żarty. Już to wogóle ostatnie wydawnictwa p. Mortkowicza korektą nie celują!" — dodaje sentencjonalnie Borowy, bardzo szczęśliwie utrafiając w sedno sprawy, posiadającej rozmiary nieco szersze, niż przypadkowe jakoby niedopatrzenia.

Przygana Borowego przeszła naogół bez wrażenia. Miarą reakcji sumienia zawodowego wydawców poety będzie ostatnie wydanie „Snobizmu i postępu" (1929, str. 4+191+1 nlb.), ogłoszone w znanej edycji popularnej puścizny Żeromskiego. Analiza jej zawartości daje znamienite wyniki. W oczy przedewszystkiem uderza obecność dobrych naszych znajo-

mych: wytkniętych przez krytyka usterek. Na usunięcie ich nie stało widocznie silniejszego bodźca, tkwią więc nadal: „światy" zamiast „śniatów" na str. 147, „cyrckiew" zamiast „cyrekwi" na str. 166 nowej edycji. Toż dotyczy sporej cyfry niewymienionych. Najdrastyczniejszy jednak jest fakt, że obok zasiedzenia starych pojawia się katastrofalny wprost przypływ nowych zniekształceń. I one to właśnie w sposób kompromitujący obniżają poziom korektorski tego wydania. Ale bo też w wiązance innych tego pokroju należy ono do najniestaranniejszych.

Ostatnia edycja „Snobizmu i postępu" ujawnia szczególną skłonność do uszczuplania tekstu poety. Swoboda bodaj za daleko posunięta! Wyraźne zubożenie toku wnikliwych jego wywodów estetycznych zaznacza się już w ustępie, poświęconym charakterystyce futuryzmu włoskiego:

Wersja błędna:	Wersja właściwa:
Skondensowanie metafory dla ujęcia tak zwanych „węzłów myślowych". Do tego celu zmierzała reforma druku, polegająca... (1929, str. 25).	Skondensowanie metafory dla ujęcia tak zwanych „węzłów myślowych" miało wytworzyć nowe „piękno szybkości". Do tego celu zmierzała reforma druku, polegająca... (1923, str. 26).

W bogactwie kwestyj, poruszonych w utworze, znalazła również wyraz tak znamienna żarliwość reformatorska wielkiego poety-społecznika. I tę jego wypowiedź pokiereszowano niełaskawie:

Wersja błędna:	Wersja właściwa:
Należy teraz oczekiwać na realizację reformy rolnej, przyśpieszać ją głosem opinii publicznej wbrew wrzaskom i wszelakim drwinom najemników reakcyi, bezmyślnych prześladowców najbiedniejszego, bezdomnego pogłowia we wskrzeszonej ojczyźnie. Polska nie dlatego powstała, żeby dygnitarz cywilny, czy wojskowy... (1928, str. 55).	Należy teraz oczekiwać na realizacyę reformy rolnej, przyśpieszać ją głosem opinii publicznej wbrew wrzaskom i wszelakim drwinom najemników reakcyi, bezmyślnych prześladowców najbiedniejszego, bezdomnego pogłowia we wskrzeszonej ojczyźnie. Polska nie dla tego powstała, żeby w niej stara nędza, jak za czasów najeźdźców, nadaremnie krwawe łzy lała. Polska nie dla tego powstała, żeby dygnitarz cywilny, czy wojskowy... (1923, str. 57).

Nie na tem przecież kończą się cudaczne zgoła „wyczyny" bezmyślnej tej cenzury. W językoznawczej partji dzieła doszczętnie ogołocono z sensu cytat z pracy prof. Aleksandra Brücknera:

Wersja błędna:	Wersja właściwa:
To też w wieku XVI, jak stwierdza prof. A. Brückner, „zrywa się jednolitość języka polskiego; język ludzi piśmiennych od mowy ludowej, grubej, chłopskiej, a przepaść dzieląca język i narzecza pogłębia się coraz bardziej... (1929, str. 122).	To też w wieku XVI, jak stwierdza prof. A. Brückner, „zrywa się jednolitość języka polskiego; język ludzi piśmiennych, wykształconych oddziela się od mowy ludzi niepiśmiennych, od mowy ludowej, grubej, chłopskiej, a przepaść dzieląca język i narzecza pogłębia się coraz bardziej... (1923, str. 128).

Przykładami powyższemi uprawdopodobniłem już może wstępną ocenę omawianego wydania „Snobizmu i postępu". W związku z tem narzuca mi się teraz pewna okolicznościowa reminiscencja literacka. W „Zbrodni Sylwestra Bonnard" Anatola France'a znajduje się przepyszna scena pożegna-

nia zamiłowanego bibljofila z umiłowaną nadewszystko bibljoteką. Daje się wówczas odczuć zróżniczkowany stosunek uczuciowy bohatera tej powieści do żegnanych przez się książek, urobiony w ciągu wielu lat pod kątem wewnętrznej ich wartości: „Czyż mogę się rozstać z tym potężnym tomem, który od lat trzydziestu mi służył, nie pożegnawszy go tak, jak się żegna dobrego sługę? Miałżebym nie pokłonić się po raz ostatni, jako mistrzowi, temu, który mnie krzepił swoją zdrową nauką? Ale za każdym razem, gdy napotkam książkę, co wprowadziła mnie w błąd, która mnie oszukała fałszywemi datami, opuszczeniami, kłamstwami, tem wszystkiem, co stanowi plagę archeologa: Idź precz — mówię do niej z cierpką radością — precz oszukańcze, zdrajco, świadku fałszywy, uciekaj odemnie, vade retro; niezasłużenie okryta jesteś złotem i pięknie przybrana w safjan; obyś, dzięki tym świetnym pozorom, dostała się za szkło jakiegoś giełdziarza-bibljomana, którego nie będziesz mogła uwieść, jako mnie, bo nigdy cię czytać nie pocznie..." Zapytam teraz: czy któryś z kulturalnych miłośników naszego poety, bibljofil zawołany lub badacz jego twórczości, w podobnych okolicznościach oszukany, — nie ma prawa do użycia słów podobnych? Plaga jego wszak identyczna jest z wyżej wspomnianą, szereg zaś dzieł, przez nią nawiedzonych, bardzo okazały. Lecz gorycz słów, któremiby nazwał rzecz po imieniu, byłaby może bardziej cierpka, epitety zaś bardziej może zpolska dosadne?

Plaga opuszczeń dotknęła również ostatnie wydanie „Międzymorza" (1929, str. 101 + 1 nlb.) z tejże edycji zbiorowej. W opisowym tym poemacie-prozą spotykamy w pewnem miejscu następujący ustęp:

> Daleko wysunąwszy się w łowiszcze, kędyś naprost Karwi, gdzie brzegów wcale już widać nie było, a głębia płytkiego morza schodziła do metrów trzydziestu, poczęli denne sieci wyrzucać... (1924, str. 78; 1929, str. 80).

Celowo podkreślam stosunkowo bardzo rzadkie wyrażenie tego urywka. „Dla uniknięcia niejasności, oraz posądzeń o tworzenie neologizmów" załączył Żeromski przy tym utworze kilkustronicowy słowniczek, w którym takie podaje wyjaśnienie rzeczonego wyrażenia: „Łowiszcze, czyli toń, — obszar wód, na którym odbywa się łów siecią. (Ślaski. Słownik). (1924, str. 94)". Najnowsze wydanie stereotypowe poematu (str. 97) wyjaśnienia tego już nie przynosi: pominął je i drukarz i korektor wydawnictwa. Zbagatelizowano więc w tym szczególe wysiłek słownikarski Żeromskiego.

W zbliżony nieco sposób uszkodzono tekst siostrzanej edycji „Turonia" (1929, Warszawa — Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza, str. 4 + 152). I tym razem rzecz polega na opuszczeniu odezwania się jednej z osób dramatu, Huberta, zamiast czego obciążono niepotrzebnie jego konto powtórzeniem wypowiedzi chłopskiego jego interlokutora, Konicy. Odpowiedni fragment dramatu brzmi następująco:

Wersja błędna:	Wersja właściwa:
KONICA	KONICA
Przyszlimy za toroniem, a trafilimy dycht na powstańców.	Przyślimy za toroniem a trafilimy dycht na powstańców.
HUBERT	HUBERT
Przyślimy za toroniem, a trafilimy dycht na powstańców. (1929, str. 42).	Dobrześ, bracie, powiedział. Trafiliście na powstańców. (1923, str. 41).

Dialogowe to misz-masz wcale nie ułatwia zrozumienia dotyczącej sytuacji dramatycznej. Przykro pomyśleć, że tom ten wyszedł spod krakowskiej tłoczni Anczyca, zasłużonej oficyny drukarskiej o tak wysokich ambicjach kulturalnych.

Ta sama plaga nawiedziła również mistrzowski obrazek nowelistyczny wielkiego poety: „Wszystko i nic" („Popiołów" sprawa druga), pomieszczony w cytowanej edycji zbiorowej puścizny Żeromskiego z roku 1929. Szczerba tekstu psuje tu wątek logiczny relacji epickiej utworu:

Wersja błędna:	Wersja właściwa:
...Nie wierzył już nikomu. Ale wiedział o sobie, że podlega, tak samo jak inni, chorobie niewiadomej i wszystkim lękom, zmorom, strachom, trwogom, upadkom i podłości, która z choroby się lęgnie... (1929, str. 47).	...Nie wierzył już nikomu. Wierzy jeszcze w siebie. Ale wiedział o sobie, że podlega, tak samo jak inni, chorobie niewiadomej i wszystkim lękom, zmorom, strachom, trwogom, upadkom i podłości, która z choroby się lęgnie... (wyd. II, 1923, str. 58).

Zarówno w tych jak i w poprzednich wypadkach kalectwo cytowanych urywków prozy Żeromskiego jest najoczywistsze, nie wymaga też dodatkowej okrasy argumentów. Widomych zresztą jego znamion nie potrzeba specjalnie akcentować, uwydatniają się bowiem same, z siłą conajmniej dostateczną. Towarzystwo przytem posiadają wcale liczne.

3. Jeśli pod względem jakościowym wyróżnić oczywiście należało powyższe okaleczenia tekstu Żeromskiego i umieścić je na pierwszym planie w wykazie niniejszym, ilościowo jednakowoż górują nad niemi przykre przeinaczenia wyrazowe. W drobnej części wywodzą się one już z pierwodruków, dokonanych pod mało starannym dozorem poety. Świadczy o tem choćby ów cytat z recenzji Borowego. Najważniejszem wszakże ich źródłem była niepowściągliwa swoboda przedruku wydań pośmiertnych. I one to właśnie dostarczyły głównego ich kontyngentu. Ale dostarczyły nierównomiernie. Z czterech bowiem omawianych utworów wyjątkowo pod tym względem uprzywilejowany jest nadal „Snobizm i postęp". Osobliwy to rewanż wydawców za przyganę znakomitego krytyka.

Służę teraz przykładami najważniejszych choćby zniekształceń tego typu. Z braku miejsca nie będę segregował ich wedle dzieł, z których pochodzą. Umieszczę je na wspólnej liście, przy pomocy skrótu tytułu zaznaczając bliższą ich przynależność. Listę rozpocznie czwarta skolei luka tekstu „Snobizmu i postępu:"

Wersja błędna:	Wersja właściwa:
...zapisać na kartce korespondencyjnej z podaniem dokładnem miejscowości, gdzie przebywa jego rozmówca,... (SiP, 1929, str. 137).	...zapisać na kartce korespondencyjnej z podaniem dokładnem miejscowości, gdzie wyraz słyszał, a raczej miejscowości, gdzie przebywa jego rozmówca,... (SiP, 1923, str. 143).
Wyraża tedy tosamo, co cognus i notus, ...(SiP, 1929, str. 8).	Wyraża tedy tosamo, co cognotus i notus,... (SiP, 1923, str. 8).
Zdala wpływu rzymskiego... (SiP, 1929, str. 11).	Zdala od wpływu rzymskiego... (SiP, 1923, str. 11).
...bieda istnienia tak wytężyła i przekręciła na nice wszystko dostojeństwo rodowe, ...(SiP, 1929, str. 13).	...bieda istnienia tak wyżęła i przekręciła na nice wszystko dostojeństwo rodowe,... (SiP, 1923, str. 14).

...niektóre jego wiersze, w rowach Szampanii pisane zasługują na *dalsze* wydanie, niż karty książki ...(SiP, 1929, str. 31).	...niektóre jego wiersze, w rowach Szampanii pisane zasługują na *trwalsze* wydanie, niż karty książki... (SiP, 1923, str. 33).
Inonia bytuje nie w dali, lecz przebywa ...(SiP, 1929, str. 38).	*Inonia* bytuje nie *gdzieś* w dali, lecz przebywa... (SiP, 1923, str. 39).
Podział zachowany był tak skrupulatnie przez poprzedników naszych, dawnych *kronikarzy* ...(SiP, 1929, str. 57).	Podział zachowany był tak skrupulatnie przez poprzedników naszych, dawnych *bibliotekarzy*... (SiP, 1923, str. 59).
...dusze *tętniące* za możnością pastwienia się, ...(SiP, 1929, str. 62).	...dusze *tęskniące* za możnością pastwienia się,... (SiP, 1923, str. 65).
Połączone znakiem dodawania z innemi słowami, nie wyraża żadnej *elektryczności* zjawisk... (SiP, 1929, str. 187).	Połączone znakiem dodawania z innemi słowami, nie wyraża żadnej *elastyczności* zjawisk... (SiP, 1923, str. 196).
...skoro zasnąć nie mógł nocy nieskończonej (M, 1929, str. 18).	...skoro zasnąć nie mógł *wciągu* nocy nieskończonej (M, 1924, str. 15).
Wystrzelają równolegle *ku* ziemi,... (M, 1929, str. 37).	Wystrzelają równolegle *do* ziemi,... (M, 1924, str. 34).
...obwieszone zielenią przyziemną i czubatemi *szyszakami* (M, 1929, str. 38).	...obwieszone zielenią przyziemną i czubatemi *szyszkami* (M, 1924, str. 35).
Kiedyż ja ci go *wrócę*? Czy ci go *wrócę*? (WiN, 1929, str. 25).	Kiedyż ja ci go *zwrócę*? Czy ci go *zwrócę*? (WiN, 1923, str. 31).
...że te ich kształty wskazywały *dowolnie*, jak... (WiN, 1929, str. 33).	...że te ich kształty wskazywały *dowodnie*, jak... (WiN, 1923, str. 41).

Warto jeszcze podkreślić bardzo niewłaściwy zabieg korektora w „Turoniu". Nie licząc bowiem pojedyńczych zniekształceń wyrugowano oto niekiedy z nowej edycji dramatu celowo weń przez poetę wprowadzone formy ludowe, typu: „wyprowadzilimy", „kazalimy" i t. p., zastępując je formami, właściwemi polszczyźnie literackiej („wyprowadziliśmy", „kazaliśmy" i t. p.). I tu więc nie uszanowano intencyj artystycznych wielkiego pisarza.

Doraźna przejrzystość cytowanej garści zniekształceń daje miarę szkodliwego ich natręctwa. Ale bo też unaoczniają one wcale plastycznie pośmiertną plagę błędu na terenie omawianych reedycyj, który wszak kaleczy bezceremonjalnie znaczeniowo - wyobrażeniową zawartość indywidualnego tworzywa słownego poety. Nie bez głębszego znaczenia jest przytem fakt, że każde z dzieł, które poddaję analizie tekstologicznej, nosi ślady poważnych uszkodzeń i okaleczeń. Znamionuje bowiem drastyczne schorzenia całego systemu wydawniczego, który nagwałt domaga się gruntownej przebudowy. Częściowy tylko remont nie dałby może pożądanych rezultatów.

4. Bogata jest ilościowo grupa usterek tekstu Żeromskiego, nie wyczerpuje jednakże wszystkich jego odmian. Poza deformacjami bowiem, niewątpliwym tym rezultatem beztroski poety i wydawców, istnieją jeszcze celowe modyfikacje tekstu, t. zw. *poprawki autorskie*, stylistycznej przeważnie natury, dokonane na marginesie któregoś z późniejszych przedruków jego utworów, oznaczone przytem lub nieoznaczone sygnaturą bezpośredniej jego pieczy. Omówieniu tego zjawiska, określanego przeze mnie

mianem cenzury poety, poświęcam osobne uwagi. Wspominając obecnie o sprawie powyższej, czynię to w tym celu, by zaznaczyć, że zróżniczkowanie dwu tych podstawowych rodzajów licznej rodziny odmian jego tekstu nie zawsze da się skutecznie przeprowadzić, bez sprawdzenia wyrażonych tu intencyj poety w zawartości własnoręcznych jego korekt lub rewizyj autorskich. Wstępną więc czynnością przygotowawczą redaktorów przyszłej edycji krytycznej dzieł wielkiego pisarza powinno być (o ile to możliwe!) odszukanie wszystkich egzemplarzy lub arkuszy korektowych.

W ścisłym związku ze sprawą powyższą pozostaje zagadnienie metody opracowania wspomnianej edycji krytycznej. Regulują tę sprawę teoretyczne wskazania podstawowej dogmatyki edytorskiej, w praktycznem zastosowaniu dość się tu komplikujące, z uwagi bowiem na zawiłość przedmiotu wymagające rozwinięcia całego aparatu postanowień procedury wydawniczej. Zgodnie z jej nakazami należy przyjąć za podstawę ustalenia tekstu i przedruku poszczególnych utworów ostatnie ich wydanie autoryzowane. Z poprzedniej publikacji, sprawie tej poświęconej, znamy już poziom niektórych edycyj, dokonanych pod okiem autora, poza pewną grupą świeżych, planowych korektur dźwigających nadal cały bagaż poprzednich zniekształceń tekstu, nie bez znacznego na tem polu przybytku. Egzemplum: „Syzyfowe prace" i naszkicowany rozwój błędności ich tekstu. Z takich to więc przyczyn przyjętą wyżej podstawę należy rozszerzyć, w tych bowiem warunkach na samem tylko wydaniu autoryzowanem poprzestaćby nie wolno. Należałoby wszak zawartość ich skonfrontować z poprzedniemi, w słabszym stopniu nawiedzonemi zalewem błędu, w niejednym zaś wypadku z następnemi, istnieją bowiem możliwości, a nawet wielce prawdopodobne poszlaki, że w ciągu późniejszych edycyj narosły dalsze korektury poety, których również zignorować nie wolno.

Ponieważ zaś znajomość systemu dowolności edytorskich wydawców poety wzbudziła poważnie uzasadnioną niewiarę w tekst drukowany, psuty i kaleczony bezkarnie, nastręczający przytem zbyt wiele istotnych wątpliwości, by można zagadnienie ustalenia tekstu rozwiązać na płaszczyźnie konfrontacji pierwodruku i wydania autoryzowanego, — sprawdzianem wierzytelnym jego autentyczności byłby materjał, zawarty w ewentualnym zbiorze korekt i rewizyj autorskich. W specjalnie zawikłanych wypadkach trzebaby nadto sięgnąć do rękopisów Żeromskiego, nie mogących jednak decydować o przywróceniu tych wersyj jego tekstu, które później samorzutnie wyeliminował.

Zastanowić również musi sprawa właściwości ortograficznych Żeromskiego. W przedmiocie tym posiadamy informację wydawców poety. Ponieważ jednak istnieją dwie różnie brzmiące jego wypowiedzi w tej sprawie, przedzielone odstępem kilku lat (pierwsza w „Projekcie Akademji Literatury Polskiej", na którego kartach zgłosił zastrzeżenia przeciwko pewnym szczegółom ujednostajnienia pisowni przez Akademję Umiejętności w roku 1917, druga zaś w „Snobizmie i postępie"), wszystkie te trzy relacje należy skrupulatnie skonfrontować z późniejszą jego praktyką pisarską. Może z rozpoznania całokształtu wiarogodnego materjału wyłonią się jakieś stałe odrębności szaty ortograficznej poety, które winnoby się zachować w naukowej edycji jego puścizny. Dotychczasowy stan tekstów Żeromskiego uniemożliwia jakąkolwiek w tym względzie orjentację.

Lecz nietylko pod tym względem. Równocześnie bowiem poważnie utrudnione są wszelkie drobiazgowe studja analityczne nad utworami poety „Wiatru od morza”, ku czemu zwrot w polskiej wiedzy o literaturze sygnalizowano z uznaniem już przed laty, nad jego słownictwem, stylem etc., przynajmniej zaś mocno ryzykowne, jak to zazwyczaj bywa wówczas, gdy grząskość gruntu uniemożliwia wzniesienie budowli solidnej i trwałej. Sprawa ta zresztą szczegółowej motywacji nie potrzebuje, na tle bowiem całokształtu ujawnionego systemu edytorskiego praktyczny ten mankament badań naukowo-literackich oczywisty jest dla każdego, komu fakty te nie są obce. I tu znów — pomijając względy pietyzmu — leży przyczyna niezwykłej aktualności zagadnienia zbiorowej edycji krytycznej puścizny wielkiego pisarza, które istotnie jest pilną i ważną sprawą literacką. Apel jednak w tej sprawie do świata badaczów zawiera podstawową pomyłkę w adresie. Należy go zwrócić gdzieindziej: do stałych wydawców poety, którzy po ujawnieniu krzywdy Żeromskiego znajdują się obecnie w sytuacji przymusowej. Najstosowniejszy to moment do wykazania się sporym kapitałem dobrej woli, którym dostatecznie legitymowali się w swoim czasie, realizując zaszczytnie nakaz udostępnienia społeczeństwu całej puścizny sztandarowego swego autora.

Krzywda Żeromskiego nie jest zjawiskiem odosobnionem. W identycznych sytuacjach znajduje się również twórczość polskich laureatów Nobla: Sienkiewicza i Reymonta. Wymieniam tylko tych, co do których prace moje są już publikowane lub przygotowywane do druku. Charakter tego zjawiska jest więc zdecydowanie masowy. I to właśnie powinno spowodować powstanie przy którejś z naczelnych polskich instytucyj literackich komisji badania i stałej kontroli poprawności tekstów współczesnych pisarzy polskich, choćby na wzór analogicznej „Komisji badania przekładów”, zorganizowanej niedawno pod kierownictwem J. N. Millera w Penclubie polskim. W cytowanym wypadku idzie o ochronę artystycznych i literackich, a więc moralnych wyłącznie praw pisarza obcego. Czy pisarz polski przedewszystkiem nie ma prawa do korzystania z ochrony nienaruszalności swego dzieła przed cudacznem nieraz zniekształceniem?

Grybów. *Wiktor Doda.*

ŻEROMSKI WŚRÓD PRĄDÓW EPOKI

Twórczość Żeromskiego przypada na okres przełomu zarówno w dziejach literatury polskiej, jakoteż w życiu narodu polskiego. W literaturze żywa jest jeszcze tradycja minionej epoki romantyzmu, pod którego znakiem rozwijać się będą nowe prądy. Realizm i naturalizm, stanowiące podłoże prądu pozytywistycznego, stoczą walkę z romantyzmem, jego idealizmem i irracjonalizmem; modernizm, zwany neoromantyzmem, będzie w części nawrotem do ideałów i haseł romantycznych, zapowie, w przeciwieństwie do pozytywizmu, prymat wyobraźni i uczucia przed rozumem. Modernizm kojarzy w sobie zasadnicze wartości romantyczne z nowemi zdobyczami doby realistyczno-naturalistycznej, zdobyczami z dziedziny naukowej przedewszystkiem. Okres to niebywałego wprost dotąd rozwoju nauk przyrodniczych i psychologicznych. Studjum psychologiczne a nawet psychopatologiczne w poezji znał już romantyzm (psychopatologiczny typ zbrodniarza u Byrona i Słowackiego), ale teraz dopiero zyskało ono podłoże prawdziwie naukowe.

Tak więc w chwili wystąpienia Żeromskiego na widownię literacką, ścierały się z sobą trzy wielkie prądy literacko-kulturalne polskie a także ogólnoeuropejskie. Z odwiecznego prawa kontrastu wynikało, że zwyciężyć musi prąd zarówno w dziedzinie artystycznej, jakoteż ideowej wprost przeciwny temu, który w dobie poprzedniej owładnął duszą narodu. Pozytywizm stał twardo na gruncie trzeźwego rozsądku, formą literacką, która mu najbardziej odpowiadała, była powieść; nowy prąd miał przywrócić do czci i waloru wzgardzone przez epokę poprzednią władze ducha ludzkiego, fantazję i uczucie, miał się wyrazić przedewszystkiem w poezji. Pozytywizm wyrzekł się na najbliższą przyszłość nieokreślonych marzeń o walce o wolność, głosił hasło pracy organicznej, chciał pracować w istniejących warunkach, uzyskać możliwy dobrobyt materjalny, chciał ściągnąć duszę narodu z zawrotnych wyżyn romantycznych na nizinę ziemską. Neoromantyzm polski powrócił do dawnych haseł odzyskania niepodległości narodowej, budził w narodzie wolę czynu i walki. Romantyzm żył nurtem głęboko religijnym, byt pozaświatowy był dla niego bytem równie realnym, jak rzeczywistość ziemska, gubił się niejednokrotnie w dociekaniach metafizycznych. Pozytywizm zrezygnował z wszelkich badań niedostępnych rozumowi i doświadczeniu. Przyjąwszy niemożność zgłębienia odwiecznej tajemnicy bytu, wyeliminował tę dziedzinę z zasięgu swych zainteresowań.

Wszystkie niemal te dawne i nowe hasła znajdziemy w bogatej twórczości Stefana Żeromskiego. Romantyzm zaciążył przedewszystkiem na jego ideologji narodowej, pozytywizm na społecznej, modernizm ściera się z pozytywizmem w dziedzinie etyki i religji, zapanował zaś wszechwładnie nad formą zewnętrzną jego twórczości, nad jej wyrazem artystycznym.

Nawskroś romantyczny jest najistotniejszy pierwiastek jego twórczości — niezłomna wiara w zmartwychwstanie Polski, w jej wewnętrzne i zewnętrzne odrodzenie, niczem niezachwiany wysiłek w dążeniu do obudzenia w narodzie woli walki o własny byt. Do innych romantycznych elementów dzieł Żeromskiego należą: kult bohatera narodowego, apoteoza heroizmu wogóle, fanatyczna miłość wolności, bezwzględne wyrzeczenie

się wszelkich dążeń osobistych dla celów ogólnych, wiara w to, że garstka wybranych jednostek może starczyć za ogół. Najbardziej może romantyczną cechę ma „mistycyzm” Żeromskiego, głębokie przeświadczenie, że Polska powołana jest do wielkiej misji dziejowej, do niesienia pomocy i wolności ludom i ludziom uciskanym, przeświadczenie, które znajduje wyraz w utworach takich, jak „Duma o hetmanie“, „Sułkowski“, „Ponad śnieg bielszym się stanę“ i „Przedwiośnie“. Do stałych motywów romantycznych należy tragiczne samotnictwo bohaterów, tak wielkie znaczenie mające u Żeromskiego. Jak romantycy, tak i bohaterowie Żeromskiego nie znają żadnych kompromisów, dla swej idei poświecają bezapelacyjnie wszystko. W romantyźmie tkwi źródło znamiennej dla autora „Ludzi bezdomnych“ idei odkupienia zła osobistem poświęceniem. Zarówno dla romantyków, jak i dla bohaterów Żeromskiego, jedyną nagrodą za nadludzkie wprost poświęcenie siebie, swego szczęścia (Judym) i sławy (Przełęcki) jest ich własne sumienie. W myśl ideologji romantyzmu rozumieją bohaterowie Żeromskiego wartość cierpienia, jako czynnika pozytywnego w ewolucji duchowej człowieka i narodu. Zarówno dusza jednostki, jak i narodu hartuje się w cierpieniu.

Nawpół romantyczne a nawpół pozytywistyczne jest ujęcie kobiety i miłości u Żeromskiego. Kobieta jest, jak u romantyków, istotą wyższą, idealną, jak u pozytywistów towarzyszką bohatera i pomocnicą w jego pracy. Romantycznie pojmuje Żeromski miłość, jest ona jużto zmysłowa i namiętna, jużto czysta i uduchowiona, pozbawiona zupełnie typowej dla pozytywizmu małomieszczańskiej moralności i cnotliwości. Zarówno u romantyków, jakoteż i u Żeromskiego miłość prawie nigdy nie kończy się małżeństwem, tak znamiennem dla powieści z epoki pozytywistycznej. Jeden tylko z jego bohaterów łączy się z ukochaną przez siebie kobietą dozgonnemi węzłami, ale szczęście to nie trwa długo, burzy je los nielitościwy (Ryszard Nienaski — Xenia Granowska).

Pod przemożnym wpływem pozytywizmu kształtuje się ideologja społeczna Żeromskiego. Nuta społeczna odzywa się już silnem echem u polskich romantyków, ale na grunt realny przenosi ją dopiero literatura pozytywistyczna. Pozytywiści chcą wprząc lud wiejski i miejski do swej pracy organicznej dla dobra narodu; na pierwszym planie świadomości narodowej umieszczają zagadnienie społeczne, problemat narodowy usuwając — narazie przynajmniej — na plan dalszy. Żeromski natomiast podporządkowuje sprawę społeczną narodowej, od pozytywnego rozwiązania kwestji społecznej uzależnia pomyślne zakończenie długoletniej walki narodowej. Sprawa polska, sprawa duszy polskiej jest dla Żeromskiego podobnie, jak dla naszych wielkich poetów romantycznych, zagadnieniem centralnem, osią, dokoła której obraca się jego myśl twórcza.

Pozytywiści na miejsce dawnych bohaterów romantycznych, którymi bywali rycerze, poeci lub artyści, ludzie skłóceni ze sobą i otaczającym ich światem, wprowadzają nowych bohaterów: kupców, przemysłowców, inżynierów, którzy ze światem zewnętrznym żyją w przykładnej zgodzie, nie podejmując z nim walki. Bohater Żeromskiego łączy cechy bohatera pozytywistycznego i romantycznego: jest lekarzem lub inżynierem, „społecznikiem”, ale zarazem i „rycerzem tej napowietrznej walki, co się o narodowość naszą toczy”; nie obcy mu romantyczny konflikt między pragnieniem szczęścia a twardym nakazem obowiązku, nie może pogodzić się z otacza-

jącą go istniejącą rzeczywistością, chce ją, jak bohater romantyczny, przetworzyć.

Dziedzictwem, jakie przejął Żeromski po pisarzach naturalistycznych, była naturalistyczna technika obrazów i opisów (dr. Poziemski chory na nosaciznę, scena porodu Ewy i zabójstwa dziecka), niesłychanie wyostrzony „zmysł dla drobnoustrojów" — jak to określił Feldman — wprowadzanie do utworów szarego człowieka, dostrzeganie bohaterstwa i wielkości nie w wyjątkowym jakimś czynie jednorazowym, ale w wysiłku i pracy codziennej.

W dwóch dziedzinach — dziedzinie etyki i religji ścierają się szczególnie silne dwa podstawowe nurty twórczości Żeromskiego: — romantyczno-modernistyczny i pozytywistyczny. Na tem tle rodzi się tak znamienna dla Żeromskiego rozterka duchowa. Realizm pozytywistyczny każe poecie trzymać się ziemi i jej spraw, tkwiący zaś w jego duszy romantyczny zmysł metafizyczny, i współczesny mu modernizm, dążący do zgłębienia tajemnicy bytu, każą mu wiecznie tęsknić do Absolutu i jego ponadziemskiej Prawdy.

Etyka Żeromskiego — w myśl ideologji pozytywistycznej — oparta jest na pojęciu humanitaryzmu. Zgodnie z tem za najwyższe dobro uważa zapewnienie możliwie największego dobrobytu możliwie najszerszym warstwom społeczeństwa, za największe zaś zło — krzywdę człowieka. Etyka Żeromskiego opiera się na utylitaryzmie społecznym i narodowym, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, brak jej natomiast podłoża metafizycznego.

O ile w etyce autora „Walki z szatanem" zwyciężyły pierwiastki pozytywistyczne, o tyle w dziedzinie religji wzięła górę nawskróś religijna filozofja modernizmu. Wobec zmagania się w duszy poety dwu skrajnie pod tym względem różnych prądów: religijnie obojętnego lub wręcz wrogiego pozytywizmu i modernizmu, z zagadnień religijnych i metafizycznych czyniącego punkt wyjścia swej filozofji — powstaje w duszy Żeromskiego i jego bohaterów głęboka rozterka wewnętrzna, tak znamienna dla niektórych pisarzy modernistycznych. Znajdzie ona wyraz przedewszystkiem w poglądzie Żeromskiego na żywot pośmiertny człowieka; pozytywizm każe mu na dręczące go pytania dać odpowiedź tchnącą skrajnym duchem naturalistycznym: „Takowyż porządek schodzi na ludzi, jako i na zwierzęta, gdyż jako zwierzę, tako i człowiek umiera i jednakowego ducha mają wszyscy, a niema nic w człowieku przed bydlęciem, bo wszystko jest próżność" [1]. Z drugiej zaś strony nigdy nieukojona tęsknota za bytem metafizycznym każe mu bezapelacyjnie uwierzyć, że ze śmiercią ciała nie kończy się życie duszy. Obok skrajnego pozytywisty Niepołomskiego, głęboko przekonanego, że po śmierci czeka ludzi wieczna noc, kreśli Żeromski postać starego aferzysty Granowskiego, niedowiarka, który siedząc u łoża umierającego legjonisty, Włodzia Jasiołda, czuje, że w jego piersi żyje wiecznie żywy Bóg. W twórczości Żeromskiego znajduje głęboki wyraz tęsknota duszy ludzkiej do Boga i odwiecznej Jego prawdy. Zagadnienie to, obce naogół pozytywizmowi, wyrasta z podłoża romantyzmu i modernizmu.

---

[1] Ludzie bezdomni. T. I. str. 252.

Modernizm odbił się również na zewnętrznej stronie twórczości Żeromskiego, na jej formie artystycznej. Tendencją modernizmu było zacieranie granic między poszczególnemi gatunkami literackiemi, co więcej, między różnemi sztukami. W powieściach Żeromskiego obok pierwiastków epickich, znajdziemy pierwiastki dramatyczne i liryczne, przyczem te ostatnie górują nad wszystkiemi innemi, nadając ton dominujący całej jego twórczości. Cechą znamienną powieści pozytywistycznej był staranny objektywizm; autor opisywał i przedstawiał, odtwarzał otaczającą go rzeczywistość, sam nie ukazując swego oblicza, miał spełniać rolę niby reżysera teatralnego. Powieść modernistyczna, a więc i Żeromskiego, jest nawskroś subjektywna, jej bohaterowie są sobowtórami autora — echo romantyzmu —, ich stany duchowe obrazami jego życia wewnętrznego. Nawet przyroda u Żeromskiego, tętniąca życiem ludzkiem, jest symbolem jego duszy. Pierwiastkiem modernistycznym jest odziedziczona po romantyzmie, a niesłychanie silnie przez modernizm spotęgowana nastrojowość, która przenika twórczość Żeromskiego i łączy się z ową swoistą, jedyną w swoim rodzaju muzyką słowa.

Na zakończenie tych pobieżnych uwag należy stwierdzić, że nie da się — rzecz jasna — w dziełach Żeromskiego poprowadzić wyraźnej granicy zasięgu trzech wyżej wymienionych prądów; pierwiastki romantyczne, pozytywistyczne i modernistyczne przenikają całą jego twórczość, przeplatając się wzajemnie; dopiero analiza literacko-historyczna doprowadza do powyższych wniosków.

Lwów. *Selma Schapirówna.*

LISTY STEFANA ŻEROMSKIEGO

Z LAT 1896—1897

Lata 1896—1897 to w twórczości Żeromskiego przełomowy czas „Syzyfowych prac" i „Promienia". Życiowo jest to dla niego okres ważnej zmiany, związanej z rezygnacją ze stanowiska w Rapperswilu i przeniesieniem się do kraju. Pewne szczegóły z lat tych są wiadome dzięki książce Stanisława Piołun-Noyszewskiego („Stefan Żeromski: dom, dzieciństwo i młodość" 1928), który też (na str. 339—340) przytoczył już kilka urywków z listów niniejszych. Wydawało się jednak — i mnie, i redaktorowi „Ruchu Literackiego", — że listy te zasługują na ogłoszenie w znacznie obszerniejszym wyciągu. Rzucają one sporo światła na różne strony życia pisarza: mówią o jego pracy, o zdrowiu, o udziale w gospodarstwie domowem, o położeniu materjalnem (jakże wymowna np. ta rozpacz w liście 10. po zgubieniu 35 rubli!), o stosunkach z ludźmi, przedewszystkiem zaś o usposobieniu.

Adresatką wszystkich tych listów była żona pisarza ś. p. Oktawja z Radziwiłłowiczów (1-o voto Rodkiewiczowa). Pierwsze pięć z nich zawdzięczamy tej okoliczności, że opuściła ona Rapperswil (wraz z córeczką z pierwszego małżeństwa) nieco wcześniej niż Żeromski, aby objąć sezonową posadę w zarządzie uzdrowiska nałęczowskiego. Listy dalsze były pisane o rok później w czasie podobnego rozstania: kiedy pani Oktawja, tym razem sama, wyjechała do Nałęczowa, Żeromski zaś z pasierbicą został jeszcze na kilka tygodni w Warszawie. (W Warszawie mieszkali wtedy pp. Żeromscy dopiero odniedawna, po krótkim pobycie w Nałęczowie, po bezowocnej próbie znalezienia pracy w Kielcach i po dwu miesiącach spędzonych w Tworkach, gdzie kierownikiem zakładu dla umysłowo chorych był brat pani Oktawji dr. Rafał Radziwiłłowicz). Żeromski nie był jeszcze wtedy bibljotekarzem w Bibljotece Ordynacji Zamoyskiej. Między pierwszą a drugą serją tych listów był napisany „Promień" (vide u Noyszewskiego str. 341—342)[1].

W druku opuszczone zostały ustępy dotyczące spraw prywatnych bez ogólniejszego znaczenia i te, które są treściowo powtórzeniami z innych listów: w sumie nieliczne. Wszystkie opuszczenia są oznaczone wielokropkiem w nawiasach prostokątnych (wielokropki zwykłe są znakami samego Żeromskiego). Pisownia jak w oryginałach.

Warszawa. *Wacław Borowy.*

1. [Z Rapperswilu 12—13. VI. 1896] 12. VI. 96

Moja najdroższa Tusiu!

Dopiero doba upłynęła od Twego wyjazdu... Jeszcze nie dojechałaś nawet do Wiednia, kiedy ja to piszę. Zdaje mi się, że cały świat umarł i że ja sam już nigdy się nie rozweselę odkąd Ciebie niema. Czy aby Henia[2] zdrowa i czy wy zajedziecie szczęśliwie? Tak mię serce boli i taki jestem smutny jak chyba jeszcze nigdy w życiu... Nigdzie miejsca znaleźć sobie nie mogę, ani się zabrać do jakiejkolwiek pracy. Chodziłem do Jony[3]

---

[1] Wtedy też, jak przypuszcza Z. Wasilewski („Żeromski w poszukiwaniu nakładcy", w „Kurjerze Poznańskim" 1931, nr: 554) wykończył Żeromski „Syzyfowe prace": „Pisał [tę książkę] pewno kawałkami oddawna, teraz wykończył; już na początku r. 1897... miał rzecz gotową do druku".

[2] Pasierbica Żeromskiego, dziś pani Janowa Witkiewiczowa.

[3] Jona — wieś w pobliżu Rapperswilu.

i za Gwaltera, ale co się uspokoję, to po powrocie do domu znowu wpadam w cierpienie i nanowo rozpoczyna się ucisk serca. Zygmunt i Wrz. zaspali dziś rano i odjechali dopiero około dwunastej. Byłem na obiedzie u G. Ona gotuje wcale smacznie — możesz być spokojna, ale ja z musu tylko dziś jadłem, bo tak mi żal. Co chwila ktoś idzie po schodach, ale to ani Heniusia, ani Ty, moja najdroższa żono. Może Bóg da, że się za parę dni uspokoją nerwy przynajmniej i ustąpi bezmyślna bojaźń, że mnie tu coś złego spotka, że Was już nie zobaczę. Dziś rano odebrałem Twoją karteczkę z Buchs i bardzo Ci jestem za nią wdzięczny. Jutro ma przyjechać Zygmunt [1] i posiedzieć przez niedzielę. Wyświadczyłby mi prawdziwą łaskę, bo z nim jednym mógłbym teraz trochę rozmawiać, albo grać w szachy, kiedy z obcymi w rozmowie doświadczam tylko tem większej męki. Pisał stary Bi [2] uszczęśliwiony, gdyż wydostał nowe sumy, więc pewny jest obecnie swego zwycięstwa.

13. VI.

Zygmunt nie przyjedzie aż jutro rano, tak pisał w kartce, którą rano odebrałem razem z Twoim listem i odkrytką [3]. Teraz już wieczór się zbliża i ja siedzę w domu po powrocie ze spaceru. Boję się okropnie telegramów, ale żałuję teraz, że Cię nie poprosiłem o telegrafowanie z Wiednia i później. Tak się boję, a dopiero we środę mogę mieć jakąś wiadomość. Jakże to wszystko źle się stało! Nie przypuszczałem, że będzie mi tak smutno, ani mi przez głowę przeszło, że mię ogarnie takie zmartwienie. Nie mogę się uspokoić i znaleźć sobie miejsca. Gdybyś wiedziała, jak to okropnie rano oczy otworzyć i zobaczyć puste miejsca... Żadna choroba nie może się równać z tym smutkiem. Teraz jest za kwadrans ósma. Dwie doby od waszego wyjazdu dopiero, a mnie się zdaje, żebym Was już nie poznał, jak to długo i dawno.

Czy Ci też w Wiedniu wszystko pomyślnie udało się załatwić? Gdy mię przyciskać zaczyna obawa, uważam ją za złe przeczucie i wtedy okropnie mi jest tutaj. Wczoraj przyszedł wieczorem G. i bawił mię swojemi bredniami. Rad byłem zresztą, że słyszę głos ludzki, ale gdyby on wiedział jak ja płakałem wewnątrz siebie, śmiejąc się i rozmawiając!

Tydzień temu byliśmy w Paryżu: zwiedzaliśmy Buttes Chaumont — byliśmy tak weseli... Nie przeczuwałem, że po upływie tygodnia będę tu sam jeden, a ty gdzieś w Wiedniu... Zapewne wkrótce wyjedziesz stamtąd. Ach, czy Ciebie aby [... C z ę ś ć k a r t k i w y r w a n a]. Może Pan Bóg da, że za parę dni przynajmniej pisanie pozwoli mi zapomnieć choć na krótkie chwile o waszej nieobecności. Dziś dzień pogodny, ale to mi nic nie pomogło, jak Ty się spodziewasz w swym kochanym liście. Jaka to kara! Rok temu śmialiśmy się potrosze z cierpień dziadzi Olesia [4], a teraz ja sam, który tak filozoficznie rozpatrywałem te sprawy — kto wie czy nie gorzej od niego szamoczę się i lękam czegoś niewiadomego.

Ty byłaś zawsze tak bardzo dobrą dla mnie, tyle się dla mnie napracowałaś tutaj, to też teraz, kiedy to wszystko sobie przypominam i gdy myślę, jak [... D r u g a c z ę ś ć u s z k o d z o n e j k a r t k i].

Całuję Twoje rączki po milion razy i przepraszam Cię za wszystko złe, za przykrości, jakie Ci kiedykolwiek wyrządziłem. Ucałuj Heniutkę i myśl o mnie, gdy ją będziesz całować, — może właśnie w owej chwili mnie na chwilę spadnie z serca ciężki kamień, co je tak przyciska. Nie przestań mię kochać i nie zapomnij o mnie. Mojego życia pewno niedługo, a teraz, obejrzawszy się na przeszłość, widzę dopiero, jak niewymownie byłem z Tobą szczęśliwy w stosunku do tego, co było dawniej [...] Żałuję, że nie wysłałem listu wczoraj, ale niepodobna mi było pisać. I dziś nie mogę dużo. Może jutro potrafię więcej do Nałęczowa. [D a l s z e g o c i ą g u b r a k].

2. [Z R a p p e r s w i l u 24. VI. 1896]. 24. VI. 96.

Moja najdroższa Tusiu!

[...] Jest dziś dobry Wrz. [5], który mi w tych czasach oddał prawdziwie braterską usługę, przyjeżdżając tutaj. Wczoraj strasznie bolała mię głowa. Nie spałem w nocy i nacierpiałem się bez miary.

---

[1] Zygmunt Chmielewski, brat przyrodni p. Oktawji Żeromskiej.

[2] Henryk Bukowski (1838—1900), znakomity antykwarjusz, wiceprezes Rady zarządzającej Muzeum Nar. Pol. w Rapperswilu Cfr. wspomnienia Żeromskiego o nim, przedrukowane w zbiorze „Elegje" (1928), oraz Z. Wasilewskiego „Wspomnienia o J. Kasprowiczu i S. Żeromskim" (1927).

[3] Zapomniany już dziś w dużej mierze wyraz pół-humorystyczny, używany przez Polaków z Kongresówki na oznaczenie karty korespondencyjnej, z rosyjskiego открытое письмо.

[4] Mowa o Bolesławie Prusie, który w lecie 1895 r odwiedził pp. Żeromskich w Rapperswilu i przechodził ataki ciężkiej depresji, wywołane chorobą przestrzeni, na którą cierpiał.

[5] Stanisław Wrzosek, podówczas student w Szwajcarji.

Co do propozycji Chł. [1], ażeby gromadzić materjały do „Nałęczówki", to zrobię to najchętniej. Ja sam myślałem tutaj nieraz, żeby po powrocie samemu skonstruować takie wydawnictwo nałęczowskie. Tylko ja nie wydawałbym przewodnika, lecz album nałęczowskie i nadałbym mu cechę naukową. Zawezwałbym do współpracownictwa: Wiercińskiego, Karłowicza, Prusa, Sacewicza i t. d., umieściłbym mapę powiatu — Wiercińskiego, szkic historyczny tegoż o całej okolicy, później szkic etnograficzny o ludności Kar-cza, później geologiczny Sacewicza, dokładny opis naukowy zakładu ze strony medycznej Dra Chł., statystykę, meteorologię etc., wreszcie nowelle na tle nałęczowskiem Prusa i innych choćby też i podlejszego gatunku pismaków, jak niżej podpisany i inni. Rozumie się, że dałbym nadto plany miejscowości, widoki starożytnych zabytków (do czego zacząłem zbierać tutaj różne duplikaty widoków, jak Janowiec w XVI w., stary Kaźmierz, Puławy etc.), a nadto typy ludności, robotników zakładu, widoki maszyn, wnętrza łazienek etc., oraz [Druga połówka listu oderwana].

3. [Z Rapperswilu 28. VI. 1896].

Droga moja Tusiutku!

Już trzy dni nie miałem żadnej wiadomości od Ciebie i niepokoję się, czy czasem Henia nie jest bardziej chora. Wczoraj miałem list od Rafała [2] z zapytaniem, kiedy wyjeżdżam stąd i którędy chcę jechać. Odpisałem mu natychmiast, że wyjeżdżam 15 Sierpnia a jechać mogę którędykolwiek, gdyż pragnę być coprędzej w kraju. Wczoraj był także u mnie Brom i malarz z Paryża, ów oparzony. Ten mi przywiózł od Twojej Izy pigułki i flakon z jakimś eliksirem na nerwy. Zacząłem brać zaraz ów eliksir i odpisałem ofiarodawczyni list nad wyraz uprzejmy. Siedzę teraz sam jeden, chodzę do Odermatta i pogrążam się coraz głębiej w melancholię. Jakżebym pragnął siedzieć gdzieindziej, naprzykład gdzie tak długo był Aldebaran [3] — zamiast tutaj. Miałżebym przynajmniej za oknem swój kawałeczek nieba. Bi często mię pociesza swemi epistołami, przysyła mi na pociechę stare książki, a dziś zawiadomienie, że Dr. O., u którego byliśmy w Paryżu darował Bi w uznaniu jego zasług medaliony, które nam pokazywał. Stąd Bi wywnioskował, że powinien koniecznie zostać. Odpisz mu grzecznie, gdyby do Ciebie napisał, albo, nie czekając nawet na jego list napisz mu grzeczne słówko i pociesz, że napewno wygra, byleby się tylko mocno trzymał.

[...] Dr. Ch. posłałem kilka wyciągów. Może się napozór wydawać, że one są zadalekie od właściwego przewodnika, ale to napozór. W każdym razie należy dać dokładny i ścisły opis topograficzny i historyczny, a do tego celu kartki niniejsze przydadzą się może. Gdybym ja tam był, to wysłałbym różnych Konrasiów i tym podobnych inteligientów do zbadania rzeki, opisania wszelkich źródeł, choćby najmniejszych potoków, dolin, błot, i t. d., do opisania lasków najbliższych, zmierzenia parowów. Te rzeczy będą należeć do przewodnika, a jednocześnie mogą się przydać słownikowi geograficznemu i t. d. Ja w dalszym ciągu będę tutaj zbierał dane i wysełał na Twoje ręce. Jeśli dr. z nich nie skorzysta, to niech ich nie niszczy. Ja tam po powrocie pójdę do pały i poproszę o stare papiery. Z nich dopiero można będzie opisać kto był fundatorem Nałęczowa i podać nieco archiwalnych szczegółów, które mogą być bardzo interesujące [4].

Jakże ten czas wolno idzie! Dopiero 17 dni upłynęło od Twojego wyjazdu, a mnie się zdaje, że to się stało w zeszłym roku. Jeszcze mam siedm tygodni do chwili wyjazdu, a ile do zobaczenia Was, to Bóg raczy wiedzieć.

Całuję Was serdecznie obiedwie z Henią

Wasz

28 VI 96. St.

---

[1] Mowa o dr. Kazimierzu Chełchowskim, który przez wiele lat ordynował w Nałęczowie i m. in. leczył Żeromskiego.

[2] Mowa o dr. Rafale Radziwiłłowiczu, głośnym psychjatrze, szwagrze pisarza.

[3] „Aldebaran" wspomniany jest już w liście Żeromskiego z Zurychu z d. 23. I. 1892 r. (cf. St. Piołun-Noyszewskiego „Stefan Żeromski", 1928, str. 198). Wedle przypuszczenia ś p. Oktawji Żeromskiej i p. Konrada Chmielewskiego był to Romuald Mielczarski. Ali-de-Baran jest też przezwiskiem Janka, bohatera nowelli „Źródło" ze zbioru „Rozdziobią nas kruki, wrony".

[4] Wynikiem starań dra Chełchowskiego była broszura „Nałęczów i jego okolice. Przewodnik informacyjny dla leczących się i lekarzy", wydana w r. 1897 (8-o, str. III+88, z mapą); zawiera ona, m. in., rozdział p. t. „Z przeszłości Nałęczowa".

4. [Kartka z Rapperswilu 4. VII. 1896].

Moja droga Tusiu! Możebyś mogła u Stepanowa sfotografować się w tym czasie w dużym formacie. Henię osobno. Duża zbiorowa fotografia, którą wczoraj odebrałem zrobiła mi właściwie przykrość. [...] Zarówno Heni jak Twoją ja wezmę na swój specyalny koszt. On robi bardzo ładnie, jeśli wnosić z tej zbiorowéj, która mię nic nie obchodzi, bo parę tylko osób zdjętych znam, a o innych nie mam nawet wyobrażenia, co za jedni. Zrób to koniecznie — i przyślij mi jak można najprędzéj.

Czy prosiłaś kogo o wysłanie mi „Biblioteki warszawskiéj" N. 1 z r. b. (styczeń). Jest tam recenzya o moich bazgrotach tego Jasieńczyka [1]. Podobno obszerna. Pisał także pan Gasztowtt [2] po francusku i z właściwą mu głupotą przyznał mi wszelkie przymioty, aczkolwiek jestem — „maladif". Napisz, czy mi kto wyszle ten numer, gdyż zwróciłbym się do redakcyi.

Całuję Twoje rączki serdecznie, Heniusię ściskam. Wasz St.

4. VII. 96.

[A d r e s:] Russland-Polen. Gub. Lubelska. Zakład leczniczy Nałęczów. Wna Pani O. Żeromska.

5. [Z Rapperswilu 4. VII. (?) 1896].

Droga Tusiu!

Ciągle skarżysz się w listach, że rzadko pisuję. Tymczasem ja w ciągu ostatnich dziesięciu dni dostałem jeden list od Ciebie, a dziś drugi. To znaczy, że piszesz raz na tydzień, a więc nie częściéj odemnie. Cieszę się, że Ci wszystek czas wolny od zajęć zajmują miłe gawędki, znajomości, recepcye. Cieszę się wogóle z tego, że się tam wesoło bawisz. Należy Ci się to za tyle lat nudy i pracy w R [3]. Mnie, Tusiutku, owych gawędek, przyjęć, recepcyj i wesołych zjawisk nałęczowskich nie opisuj szeroko. Wolałbym więcéj wiadomości o Tobie i o Heni, niż tak obszerne charakterystyki różnych burżujów. W ostatnim liście niéma prawie wzmianki o chorobie Heni... Co mnie tam obchodzą różni „Pułasie", chociażbyś się nawet w ich towarzystwie jaknajweselėj bawiła. Jestem zdenerwowany tak bardzo, że nie wiem, co daléj ze mną będzie, a ty opisujesz mi wesołe recepcye... Nie powtarzaj też ciągle frazesu: — „czemu ty zostałeś?", bo to sprawia na mnie wrażenie niezmiernie przykre. Wydaje mi się, że temi wykrzyknikami chcesz ukryć znudzenie, jakie zajęło miejsce miłości dla mnie w Twem sercu. Nie jestem karyerowiczem, więc musiałem tu zostać. Czyż ja po czterech latach pobytu tutaj mogłem rzucić wszystko, nikogo nie zawiadomiwszy i dla czego? — ażeby jeść szparagi w Nałęczowie... Moja najdroższa, — ja ani słowem nie powstrzymywałem Twego wyjazdu, ale czy Ty kochałaś mię, opuszczając mię tu chorego i w niewymownem zdenerwowaniu — to inna kwestya. Nie sądź tylko, że robię Ci wymówki i że przestałem Cię kochać. Pęknięcie dzwonu znać po głosie, a ubytek miłości po uczynkach. Ja w chwili Twego wyjazdu i ciągle późniéj dla tego tak niezmierną czułem w sercu boleść, że widziałem w Twoim wyjeździe zniknienie Twej miłości.

Od dwu tygodni jestem sam absolutnie, bo ani Wrz. ani Zygmunt nie przyjeżdżają, z czego rad jestem bardzo, bo teraz jestem nie do rozmowy. W moich izbach przeżywam drugi Nałęczów, drugą górkę w wili Górskich [4]. Coś we mnie pośród wielkiego bólu wyłamuje się i stwarza. Może Pan Bóg da mi przetrwać to wszystko...

Nie namawiaj tylko Zygmusia, żeby mię odwiedzał, gdyż wogóle nie rad widzę ludzi — a i Rafał nie będzie miał ze mnie wielkiej pociechy. Pisałem do niego w odpowiedzi na natarczywe pytanie, którędy chcę jechać... Do tej jazdy jeszcze tak daleko... Leją ciągłe deszcze, wyją wichry od tygodni. Zdaje mi się, że jak niegdyś jestem jak liść, że mię przez nikogo nie odczuwane cierpienia niosą, jak ten wicher i że niema dla mnie ani jednego miejsca na ziemi.

[1] Pod pseudonimem Marjana Jasieńczyka pisywał Wacław Karczewski (1855—1911), który od r. 1894 mieszkał w Szwajcarji. Vide o nim książkę Z. Wasilewskiego „Współcześni" (1924).

[2] Wacław Gasztowtt, publicysta, krytyk i tłumacz dzieł polskich na język francuski, redaktor wieloletni pisma „Le Bulletin Polonais".

[3] W Rapperswilu.

[4] Okazuje się więc, że okres pobytu w Nałęczowie (przed r. 1892) nie był dla Żeromskiego tak całkowicie pogodny, jak to Noyszewski przedstawił w swojej książce (str. 182—184).

Zapominam, że Ty znowu dajesz listy do czytania i opisuję moje biedy. Gdyby tak było, to przestanę pisać zupełnie. Na kartach odkrytych [1] nie będę pisał, gdyż nie chcę, ażeby czytano, co piszę, a obojętnych biuletynów nie mogę wysełać.

Moja najdroższa Tusiu, nie bierz mi za złe tych uwag, jakie tu napisałem. Jest to moje głębokie przekonanie. Dziś jesteś zdrowszą, odpoczęłaś i jesteś w lepszym humorze, — więc możesz odczytać to spokojnie. Nie zmuszaj się do pisania o burżujstwach, lecz jeśli kiedy przyjdę Ci jeszcze na myśl, napisz do mnie kilka słów życzliwych. Ja Was obiedwie do śmierci nie przestanę kochać całem mojem chorem sercem, choć już nie posiadam Waszéj miłości.

St.

4. VI. 96. [2]

6. [Z Warszawy b. d. (2. VI. 1897?)].

Moja najdroższa Tusiutku!

Obydwoje bardzo tęsknimy za naszą ukochaną. Szczególniéj przy obiedzie było nam smutno, gdy ktoś zadzwonił, a Henia powiedziała: może to Mamusia? Ja jestem rozdrażniony i mam ciężar na sercu, jak w Rapperswylu. Umyślnie wczoraj pisałem dużo, ale co chwila muszę przerywać robotę, bo nie mogę. Był popołudniu Rafał. Mówił, że z ręką jego było wczoraj troszkę gorzéj [...] Henia popołudniu była u pani Jakowskiéj, a dziś (środa rano) poszła na pensyę [...] Służąca jest doskonała [...] Do dziś jeszcze nie było ogłoszenia w Kuryerze, ale też nie było żadnego wyszczególnienia prac nadesłanych [3], więc mam nadzieję, że dziś to nastąpi. Byliśmy wczoraj z Rafałem u Konrasia [4]. [...] Dali mu (Las. [5] i Chełch.) do obrobienia artykuł o Nałęczowie do Kuryera. Coś za to zarobi.

Moja najmilsza, pamiętaj o moich prośbach i nie wchodź w żadne stosunki przyjazne z całą tą kompanią. Przekonasz się, że lepiéj wyjdziesz na tem. Lepiéj dobro zachować dla takich ludzi, jak Rafał, Basaczka, Paulowa [6], Jakowska [7] i innych, zasługujących na nie, niż je marnować dla nędznych karyerowiczów i karyerowiczek. Całuję Cię po milion razy.

Twój zawsze Stefan.

[Reszta listu wypełniona przez Henię].

7. [Z Warszawy 4. VI. 1897] 4 Czerwca 97.

Droga Tusiutku!

Odebraliśmy Twoje dwa listy. Wczoraj przyszedł drugi. Jest to jedyna pociecha w naszem życiu. [...]

Musiałaś już czytać w Kuryerze, że „Grzech" był wymieniony w liczbie 98 utworów nadesłanych na konkurs. Jak mi mówiono, poprzysełali swe sztuki — Lubowski, Bałucki, Zaleski [sic], Przybylski, Tetmajer (wierszem) i inni potentaci. Wiadomo już, że nagrodę otrzymać ma niejaki pan Grabowski, kuzyn Nowodworskiego. Nie ma więc gadania o żadnem odznaczeniu. „Wiek" pisząc o tytułach nadesłanych utworów, zwrócił uwagę i na "Grzech", mówiąc, że nietuzinkowy to musi być literat, kto takiemi dewizami, jak przy-

---

[1] „Karty odkryte" -- to samo, co „odkrytki", o których wyżej.

[2] Data wyraźnie tak wypisana, ale oczywiście mylna. Jak z treści widać, musiała przed tym listem być wysłana kartka nosząca datę 4. VI. 96

[3] Mowa o konkursie dramatycznym „Kurjera Warszawskiego", na który Żeromski posłał dramat p. t. „Grzech", z którego część (p. t. „Akt I") była później drukowana w książce zbiorowej dla Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Prawda" (1899); całość dramatu dotąd w rękopisie; streszczenie i wyjątki podał Stanisław Knauff w „Kurjerze Warszawskim" 1928, nr. 1.

[4] Mowa o Konradzie Chmielewskim, drugim bracie przyrodnim p. Oktawji.

[5] Dr. Wacław Lasocki, prezes spółki, której własnością był zakład leczniczy w Nałęczowie.

[6] P. Walentyna Pauly, kuzynka Henryka Rodkiewicza, pierwszego męża p. Oktawji, prowadziła w Warszawie pracownię sukien; państwo Żeromscy stawali u niej w czasie krótszych przyjazdów. (Wiadomość od p. Konrada Chmielewskiego).

[7] P. Marja z Wiszniewskich d-rowa Marjanowa Jakowska była przyjaciółką pani Oktawji.

toczona, operować mnie. Zdaje się, że ta mądra opinia będzie jedynem odznaczeniem tego utworu [1].

Trzy dni już przepisuję w bibliotece Zamoyskich stare brednie dla Prusa [2]. Jest tego formalna kupa. Jużem napisał jakieś 18 kartek i jeszcze będzie ze dwa dni pisania po cztery godziny.

Wczoraj miałem list od Konopińskiego [3], w którym zapewnia, że „najdalej w ciągu tygodnia wyśle mi 150 guldenów, a po ukończeniu druku obliczy po 4 centy od wiersza". Będzie to zapewne takisam „tydzień", jakich już z ośm miałem przyjemność oglądać. W każdym razie mam przynajmniej jakiś dokument w ręce. [...]

Co do owego katalogu, to myślę, że nie będziesz miała czasu wykonać go teraz, a rozpocząć i nie dokończyć byłoby jeszcze gorszem upokorzeniem, niż posiłkowanie się głupim katalogiem panny Z. Może zaczekać aż Zygmunt przyjedzie. On z Zosią mogliby w parę dni wysztyftować doskonały katalog na kartkach, który mógłby służyć za podstawę doskonałego alfabetu. Zawsze praca nad spisaniem choćby trzystu tomów zajmie ze trzy tygodnie czasu. Zmęczysz się i nie wydążysz. I tak prosząc Zygmusia o wykonanie katalogu dasz poznać Kaziuni, że nawet nie słyszała o czemś podobnem. Był tu Arctowski [4], ale nie zdążyłem go poznać, bo się zaraz wyniósł. Jedzie do bieguna południowego.

Liczymy dnie do przyszłej soboty. Rafał [...] jeśli mu się do tego czasu ręka zgoi, to pewno się wybierze.

Całuję Cię serdecznie po milion razy

Twój zawsze serdecznie kochający

Stefan

Kupiłem dziś $\frac{1}{4}$ herbaty za 50 kop. i masła za 2 złote od pani Paulowy. Posełam pasport Heli.

8. [Z Warszawy 7. VI. 1897]. Poniedziałek.

Moja najdroższa Tusiu!

Wczoraj byliśmy z Henią w teatrzyku lwowskim na operze „Jaś i Małgosia". Henia była okropnie zachwycona wiedźmą i „zwerglami" [...]

[...] Ja wczoraj byłem za biletem darmowym z redakcyi Głosu na wyścigach. Byłem krótko, bo tylko jakie półtory godziny. Znudziło mię to i drażnił widok grających w totalizatora, gdzie „inteligencya" stoi na równi z hołotą ostatniego rzędu. Rabski, który grał zapamiętale, przedstawił mi Ludwika Szczepańskiego, który przyjechał do Warszawy w sprawie nowego pisma. Zakłada je w Krakowie (tygodnik). Mówił mi, że jakaś panna Brix, tłomaczka rzeczy polskich na język niemiecki, poleciła mu, żeby mię zapytał, jaki utwór chciałbym mieć tłomaczony na język niemiecki w zbiorowem wydaniu „Nowellenbuch".

W sobotę widziałem się z Prusem. Ma być dzisiaj u mnie w sprawie tych kopij jego nowel. Wyrypał dziś kronikę przeciwko pomnikowi Mickiewicza [5]. Kieruje się na drugiego Straszewicza [6], bo już zaczyna odkrywać karty w kwestyi komitetu przyjęcia cesarza.

---

[1] Owa wzmianka o „Grzechu" mieści się w „Wieku" z 4 czerwca (t. j. z dnia pisania listu). Wspomniawszy o 95 nadesłanych i 3 zapowiedzianych utworach, feljetonista (W. R-[abski?]) zauważa, że z samych już tytułów i dewiz autorskich „można niekiedy wydobyć coś w rodzaju drobnej wskazówki o smaku literackim autorów, ich poglądach na sztukę, niekiedy nawet pewnych właściwościach charakteru". Wymieniwszy zaś kilka tytułów i dewiz pretensjonalnych i banalnych, pisze dalej: „Są jednak i takie godła dramatyczne w żniwie obecnego konkursu, które świadczą poniekąd o pewnej inteligencji autorów, o głębszych refleksjach, a przynajmniej o dobrym guście w ocenie cudzych aforyzmów". I tu, wśród innych, wymieniony jest „Grzech" z jego godłem: „Grzech jest to jedyna twoja własność osobista". Konkurs rozstrzygnięty został tak, że nagrody pierwszej (rubli 1000) nie przyznano nikomu; nagrodę drugą (rubli 500) dano Andrzejowi Niemojewskiemu za dramat „Familja"; odznaczono nadto cztery jeszcze sztuki, wśród nich „W sieci" J. A. Kisielewskiego (wiadomość o tem w „Głosie" z 28 listopada 1898 r., w „Tygodniku Illustrowanym" z tejże daty, etc.) Wspomniany w niesprawiedliwej plotce Franciszek Nowodworski, znany adwokat, był wówczas redaktorem „Kurjern Warszawskiego".

[2] Była to płatna praca, obmyślona przez Prusa dla Żeromskiego, który wówczas nie miał żadnego stałego zarobku.

[3] Michał Konopiński był wówczas redaktorem krakowskiego dziennika „Nowa Reforma", w którym miały się drukować „Syzyfowe prace"

[4] Henryk Arctowski, ostatnio prof. geofizyki i meteorologji w Uniw. Jana Kazimierza, w latach 1897—99 brał udział w wyprawie belgijskiej na ocean Antarktyczny.

[5] W „Kurjerze Codziennym" w niedzielę 6. VI. 1897.

[6] Ludwik Straszewicz był czołowym publicystą t. zw. obozu ugodowego.

W naszem życiu nic nowego. Nikt nie przychodzi, smutno i pusto. Coraz bardziej czuję się samotnym na świecie i tylko z tobą jedną mogę się zrozumieć. Spotykam się niby to z artystami, z, Boże odpuść! poetami, a żaden z nich nie może odczuć tego smutku, jaki przyciska serce.

W tym tygodniu Konraś kończy swoje egzamina. Może z nim na jakiś dzień pojadę do Tworek, a w sobotę z Rafałem lub bez niego do Nałęczowa [...]

W Głosie nikt nie wie o mojem autorstwie i nikt się nie domyśla. Umyślnie wyśmiewałem się z tych, co piszą na konkurs, żeby odwrócić wszelkie podejrzenie. Z Henią prawie codzień chodzę do Świdra [1], chociaż tam teraz gorzej dają jeść wobec niezmiernej masy gości. Korzon był dla mnie ogromnie uprzejmy, wypytywał mię nawet, czy mi z Krakowa odeślą pieniądze, ale prośby dotąd nie podał [2]. Na wyścigach widziałem Zamoyskiego. Jeśliby w tym roku było mało gości w Nałęczowie, jeśliby wskutek tego było jakie mieszkanie z jednego pokoju złożone daleko od zakładu w alei lipowej, i gdybym zarobił dużo pieniędzy, to możebym się tam z Henią ulokował na sierpień, to jest na największe gorąca. W przeciwnym razie trza będzie siedzieć tutaj. Całuję Cię serdecznie po milion razy.

St.

[Dopisek na marginesie:] Heni niema — jest u Kalin. Napisze wieczorem.

9. [Z Warszawy b. d. (11. VI. 1897)].

Kochana moja.

Już jutro się zobaczymy [3]. Jedziemy wszyscy troje: Rafał, Henia i ja o godzinie 1 m. 42 z dworca nadwiślańskiego [...] Rafał [...] ciągle jeszcze nie zdrów, chociaż ręka już mu się goi. Dla Szczepańskiego będę się musiał fotografować, gdyż zarówno owa p. Laura Brix, która ma wydać zbiór nowoczesnych utworów naszych w przekładzie, jak i on (Szczepański) w swojem piśmie Życie chcą podawać portrety [4]. On mię piłuje w szczególny sposób o to, gdyż chce skorzystać z tej samej kliszy, jaką użyje Brix Szczepański jest mi bardzo życzliwy, pisał o mnie po różnych niemieckich gazetach [...]

Promień zaczyna się podobać [5]. Wczoraj był Koskowski, przyjeżdżał ze wsi i kupił dla jakiegoś bogatego Rotwanda tom moich nowell. Widać żydy uważają mię za bojownika filosemityzmu, kiedy ja jestem tylko stronnikiem rozumu i sprawiedliwości.

Nie mogę pisać dłużej, bo chcę, żeby ten list zaraz poszedł. Do widzenia

Twój Stefan.

[...] [Druga część listu wypełniona przez Henię].

10. [Z Warszawy b. d. (14. VI. 1897?)] Warszawa.

Moja ukochana!

Jestem tak zbity zgubą tych trzydziestu pięciu rubli, że siedzę i płaczę. Tym porządkiem wyrwałem z Twojej krwawej pracy już 65 rubli na ten miesiąc. Co ja pocznę to nie mam pojęcia! W dodatku tak się zmordowałem i zdenerwowałem, że tracę pewność i wpadam w jakiś niepokój. Gdzie i jakim sposobem mogłem zgubić te pieniądze? Przypominając sobie minuta za minutą przychodzę do wniosku, że chyba na banhofie. Wydzierałem kartkę z notesu dla Heni, bo pisała list do Ciebie, ale ten notes miałem w innej kieszeni w surducie. Gdyś mi dała te fatalne pieniądze, włożyłem je do kieszonki w kamizelce, gdziem miał inne 9 rubli. Tamte są, a tych niema. W Iwangrodzie [6] coś mię tknęło i zacząłem szukać tych pieniędzy dla włożenia ich do skrytki w notesie.

---

[1] Popularna nazwa mleczarni „Nadświdrzańskiej", która się mieściła w ogródku na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich (Dziś na tem miejscu wznosi się potworny gmach Banku Gospodarstwa Krajowego).

[2] Żeromski starał się wtedy o posadę bibljotekarza w Bibljotece Ordynacji Zamoyskiej, której Korzon był dyrektorem. Stąd znaczenie wiadomości zawartej w zdaniu następnem.

[3] T. j. w sobotę 12. VI. Wyjazd ten był zapowiedziany w liście 4. VI.: „Liczymy dnie do przyszłej soboty" i 7. VI.: „w sobotę z Rafałem lub bez niego do Nałęczowa.

[4] Projekt zamieszczenia fotografji Żeromskiego w „Życiu" nie doszedł do skutku, ale d. 13 listopada 1897 r. pojawił się tam artykuł Stanisława Wyrzykowskiego p. t. „Maurycy Zych".

[5] „Promień" drukował się wtedy w „Głosie".

[6] Urzędowa rosyjska nazwa Dęblina.

Moja najdroższa, przebacz mi przez wzgląd na to, że to z tęsknoty za tobą byłem tak nieuważny. Jestem tak chory, że ani chwili nie mogę utrzymać łez. Już wczoraj byłem bardzo zdenerwowany, a to mię dziś zupełnie przytłukło. 35 rubli! Kiedyż ja to mogę odrobić? Henia zdrowa i wesoła przyjechała i pocieszała mię jak mogła. Jest to tak dobre dziecko, tak intuicyjnie rozumiejące, że trudno opowiedzieć. Przez cały czas nie ruszyła się na krok odemnie i patrzyła mi w oczy. Żeby też raz wyszła na korytarz...

Nie probuj nawet szukać, gdyż to, widać, kara boża za jakiś grzech Tak pragnąłem oszczędzić i zabrać się do najforsowniejszej pracy, żeby ten rok przebiedować i odpłacić Ci w przyszłym za twoją niewymowną dobroć, za twoje ukochane serce, — i masz... początek marzeń. Dziś mam zupełnie dzień rapperswylski, zeszłoroczny, a może nawet jeden z najlepszych. Nie śmiem już teraz nawet jechać do Nałęczowa, a tu zostać nie podobna, gdyż mogę wpaść w zupełne zdenerwowanie i bezsenność. Ach, jakże jestem dziś nieszczęśliwy. Myślę i rozmyślam co począć na to, ale myśli plączą mi się w głowie. Moja ukochana, kochaj mię z całego serca, tak, jak ja Ciebie. Ja nie potrafię wyrazić tego słowami, jak bezgranicznie przywiązany jestem do Ciebie. Pewny jestem, że gdybyśmy jechali razem, nigdyby mi się to nie przytrafiło: Przetrząsnąłem wszystkie kieszenie po dziesięć razy, przejrzałem wszystkie rzeczy. Niéma nigdzie.

Przepraszam Cię po milion razy i zasyłam słowa najgłębszej miłości

Twój St

11. [Z Warszawy b. d. (między 21. a 24. VI. 1897)].

Moja ukochana! Nie pisałem tyle dni, gdyż byłem zmartwiony i rozbity tą stratą, a przytem nie chciałem Cię martwić swoją pisaniną. Dziś rano miał wstąpić Rafał [1], byłbym mu list oddał, ale nie przyszedł. W zeszłym tygodniu znowu przepisywałem dla Prusa przez dwa dni, bo się pomylił, a teraz przepisuję „Promień". Jesteśmy zdrowi oboje i liczymy dni do wyjazdu w nadziei, że razem będzie nam lepiej, choć Nałęczów już cię ustroił w newralgję [...] Ładne miejsce kuracyjne, gdzie się napewno dostaje choroby, która ginie gdzieindziej! 35 rubli otrzymałem. 25 oddałem Paulowéj. Oprócz tego wziąłem 10 od Wasilewskiego i 5 wpakował mi Prus za przepisywanie. Był na sesyi redakcyjnej w Głosie. Było nas pięciu: Strzembosz [2], Wasilewski, Stecki, Włodek [3] i ja. Użeraliśmy się trzy godziny, ale bardzo nobliwie i poczęści przekonaliśmy go. Mówił później na mieście, że to zdolni ludzie. Ja mówiłem dużo i dobrze, zupełnie parlamentarnie. Pisałem do Krakowa. Ależ mi się szczęści w tym roku! Dziś miałem troszkę pociechy. Przyjechał tu Reymont. W Świdrze była rozmowa o wydaniu moich nowell. Jabłonowski [4] odezwał się, że jeżeli Głos będzie mój tom wydawał, to on da na Głos sto rubli. Gdyby jeszcze parę osób w ten sposób wciągnąć (między innymi Rafała) to mógłbym przez pośrednictwo Głosu wydać niejako własnym nakładem i lepiej nieco zarobić. Mówiono także, że młody Sennewald koniecznie chce wydać te nowelle.

Napisz koniecznie do Paulowej, żeby ona się zajęła przeprowadzką [...]

Kończę, bo już późno, a chcę, żeby ten list jutro poszedł. Całuję Cię serdecznie, moja najdroższa. Twój St.

Henia była wczoraj u Kalinowskich [...]

12. [Z Warszawy (24. VI. 1897?)].

Droga moja!

Dziś otrzymałem czek od Konopińskiego na 117 rubli (150 guldenów). Jutro odbiorę z Banku handlowego. Teraz spokojniéj można będzie się urządzić. Nareszcie może zacznę druk i wypłacę resztę należności. Z radością funduję dziś Heni bilet na wianki wiślane (15 kop.) Za kwadrans idziemy. Do widzenia naszej kochance...

St.

Czy zapłacić za nowe mieszkanie ile i komu? Naradź się z Rafałem i napisz [5].

---

[1] Przed wyjazdem do Nałęczowa, gdzie przebywała pani Oktawja.
[2] Tadeusz Strzembosz był tytularnym redaktorem i wydawcą „Głosu".
[3] Zygmunt Wasilewski, Jan Stecki, Ludwik Włodek, — głośni pisarze i politycy.
[4] Władysław Jabłonowski, wybitny krytyk i publicysta, po odrodzeniu państwa senator.
[5] O wyjeździe Rafała Radziwiłłowicza do Nałęczowa wspomina list poprzedni, co określa w przybliżeniu datę.

13. [Z Warszawy b. d. (między 24. VI. a 1. VII. 1897)].

Droga Tusiutku!

Dziś mi Wanda [1] powiedziała, że matka jej dostaje jakiś tam spadek i że wskutek tego ona prosi o zwolnienie od 1 Lipca. Obiecywała mi dać na swe miejsce jakąś dziewczynę od sióstr miłosierdzia, która ma być dobra i t. d. Mnie się zdaje, że nie mamy potrzeby najmować służącéj na ten kwartał, wskutek czego oszczędzimy blisko 40 rubli. Niech się opiekuje przez ten czas lokalem Franciszkowa z Widok ulicy. Nasze rzeczy zamkną się w stołowym pokoju i nikt do nich nie będzie miał wstępu, a Rafała podawnemu pilnować będzie tamta baba. Mogę jej dać od siebie rubla na miesiąc, żeby sypiała w kuchni i pilnowała mieszkania w nocy. Chodzi tylko o przenoszenie i o Paulową. Dziś się rozmówię z Paulową. Możeby i jej paliła w piecu Franciszkowa. Co do przenoszenia, to mam jedną myśl: gdyby Staś chciał się tem zająć? [...Dłuższy ustęp o tym planie przeprowadzki].

Wczoraj zapisałem Henię na pensyę do panny Czarnockiéj to jest u jej spadkobierczyń, czy następczyń [...] w każdym razie ta szkoła będzie bliziuteńko, a czy ją będą uczyli czytać pod okiem Czarnockiéj, czy nie, to wszystko jedno. Egzamin z czytania polskiego i rosyjskiego odbędzie się 30 sierpnia. Może więc Heńka być dwa miesiące w Nałęczowie, a późniéj, gdy ja w sierpniu wrócę z Dąbrowy [2], odesłałabyś mi ją [...]

W tej chwili wszedł listonosz i przyniósł mi rekomendowany list od Szczepańskiego a w nim wycinek z Nowej Reformy z zawiadomieniem od Redakcyi, że w bieżącym kwartale rozpoczną druk M. Zycha p. t. „Syzyfowe prace". Jest to najlepszy z tytułów, jakie posłałem, może nawet lepszy od pierwszego. Szczepański pisze, że niewiadomo, czy pierwszego się zacznie, ale w każdym razie rychło. Henia jest zdrowa, ale mnie bolą zęby, nie wiem skąd się to wzięło, cała prawie szczęka, a szczególnie dwa na samym przodzie. Jak Twoja newralgia? [3].

Całuję Cię serdecznie, moja milutka.

Twój St.

---

[1] Służąca.

[2] Żeromski miał istotnie zabawić czas jakiś w Dąbrowie Górniczej u siostry ciotecznej Marji z Saskich Albrechtowej (vide u Noyszewskiego, str. 350).

[3] Mówił o tej newralgji list 11; stąd wskazówka co do daty.

ROZPROSZONE UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO

Wydając w r. 1927 — z inicjatywy nieodżałowanego Jakuba Mortkowicza — tom pism Żeromskiego rozproszonych, zapomnianych lub zupełnie nie drukowanych p. t. „Elegje", byłem przekonany, że „są jeszcze inne drobne utwory Żeromskiego, w rękopisach i w druku", do których nie zdołałem dotrzeć; wyraziłem też w przedmowie nadzieję, że wydanie „Elegij" skłoni wiedzących do ujawnienia uzupełnień. Przekonanie było słuszne i nadzieja nie pozostała płoną. Pewne rzeczy zostały od tej pory ogłoszone drukiem w czasopismach; o innych osoby poinformowane nadesłały mi wiadomość listownie. Dorzucono też kompetentnie kilka szczegółów objaśniających teksty wydane w „Elegjach". Po ośmiu latach od wydania książki, a w dziesiątą rocznicę śmierci jej Autora czas zinwentaryzować to pokłosie.

*

1. P. Stanisław Piołun-Noyszewski w książce „Stefan Żeromski: dom, dzieciństwo i młodość" (1928) ogłosił (str. 124—126) najwcześniejsze ze znanych dotąd juveniliów pisarza: wiersz z 1883 r. do Ludwiki Dunin-Borkowskiej: „Wszyscy Ci hołdy niosą w ofierze", złożony z 14 zwrotek 4-wierszowych. (Tamże zamieszczone zostało facsimile autografu tego wiersza).

2. Aforyzm wpisany do albumu p. Wandy Przyborowskiej (1899? 1900?) zapamiętał prof. Przemysław Dąbkowski i podał o nim wiadomość we „Wspomnieniach z podróży naukowych 1899—1908", 1930, str. 11. P. Kazimierz Czachowski („Ruch Lit." 1930, str. 262) wykrył w tym aforyzmie warjant zdania ze „Zwierzeń" Joasi w „Ludziach bezdomnych".

3. Od prof. Konstantego Krzeczkowskiego dowiedziałem się (listownie), że Żeromski jest autorem niepodpisanej przedmowy do książki „Ryszard Gieysztor", wydanej bez karty tytułowej i bez daty w Krakowie (str. 104 w ósemce, druk Drukarni Jagiell.). Jest to zbiór utworów ciekawie zapowiadającego się młodzieńca, który zmarł jako student (najpóźniejszy utwór ma datę 1901 r.). Oto tekst owej przedmowy (zatytułowanej: „Od wydawców"):

— Co niesiesz w ofierze dla słonecznych krain?
— Czyste głębie moje.
— Czemu nie idziesz kręgiem świata?
— Błota i spodlenia rozszalałe rzeki zmyły ślady dróg.

. . . .

— Ktoś ty?
— Jam jest duch wieczny — przodownik!" [1]

Oto jedno z ostatnich westchnień...
Na zawały granitowych skał nie wstąpił i nie ujrzał słonecznych krain obiecanej ziemi Hanaan. Nim pierwszy okrzyk bojowy z piersi wydobył — ten, co najbardziej był go spragniony — wicher śmierci zagasił płonące oczy, zwrócone ku odległościom, a młodą potęgę rozwiał, jako garsteczkę popiołu.

Została się na ziemi tylko pamięć święta i te dźwięki ulotne, niecierpliwemi palcami wydarte ze strun, żałosne krzyki piersi namiętnej a przyduszonej, słowa śpiewające i pełne harmonii.

Ci, co miłością i braterskiem współczuciem otaczali umarłe serca, składają te karty, jako znak żalu i łzawnicę czci. Niech świadczy o twórczem drżeniu ducha, o czynie z rąk wydartym, o pieśni nie wyśpiewanej... Miłość i żal towarzyszą mu, cieniowi czystemu — „Przodownikowi" — idą za nim aż do bramy tajemniczej, aż do jeziora podziemnego, aż do cienia wieczności.

4. P. Ida Wieniewska w recenzji „Elegij" w „Gazecie Lwowskiej", 1928, nr. 275, przytoczyła przekład wiersza Heinego „Du Lilie meiner Liebe" („który znalazłam — pisze — swego czasu, nie pamiętam już niestety w jakiem czasopiśmie"). Oto on.

Wciąż, lilio mych marzeń prześnionych,
Posępnie się schylasz nad stokiem
I, płacząc rosami srebrnemi,
Oskarżasz mnie w żalu głębokim.

Ach odejdź, zły kłamco, odemnie:
Ostrzegły mnie siostry życzliwe,
Że róża, ma piękna kuzynka,
Posiadła twe serce fałszywe.

Ponownie ogłosił ten wiersz p. Zygmunt Wasilewski (p. t. „Z Heinego") w „Myśli Narodowej", 1931, nr. 9, takie dając informacje o źródle tekstu: „Wierszyk ten przepisuję z karnetu, przeznaczonego na Bal Literacki, który urządzała na swój dochód,

[1] Cytata z ostatniego z wydrukowanych w książce urywków R. Gieysztora: dialogu Człowieka z Młodzieńcem.

w Warszawie, Kasa Literacka w dn. 30 stycznia 1902 r. Stefan Żeromski wpisał go drobnemi literkami na małej przestrzeni kartki, pod „secesyjnym" obrazkiem, wyobrażającym główkę kobiecą z białym kwiatem we włosach" [1].

5. W „Kurjerze Porannym" 19 marca 1929 r. (nr. 78) ogłoszony został: „niedrukowany wiersz Stefana Żeromskiego z albumu Or-Ota":

Gniją wciąż w duszy złe jady
I rozłamuje wciąż serce
Bezsilna litość nad Tobą...
Wre w duszy wściekłość gromady
Wykarmiająca morderce,
A jestem zawsze sam z sobą...

Ach, zlicz już dni te plugawe,
Na więźniów przeżyte chlebie,
Z gardłem zduszonem rzemieniem,
Daj zezwolenie łaskawe,
Że czas już umrzeć za Ciebie,
Z Twojem na ustach imieniem!

Niewątpliwie sam Or-Ot był tym, który wiersz podał do druku. Dziś album Or-Ota jest w posiadaniu jego brata p. Feliksa Oppmana. Dzięki jego uprzejmości mogę uzupełnić znajomość tekstu wiadomością, że jest on opatrzony dedykacją: „Kochanemu Panu Arturowi na pamiątkę ofiaruje jego wielbiciel Stefan Żeromski" i jest datowany: „Nałęczów, 4 września 1905". Można zauważyć pewne podobieństwo pomiędzy tym wierszem a jednym z wierszowanych ustępów późniejszej o kilka lat „Róży" (— „Nikt wam nie zmąci snów — grobom wkopanym w mogiły, mocy, strąconej w dół zgniły...") [2].

[1] Żeromski nie miał powołania na tłumacza. Na dowód warto może przytoczyć — za p. Wieniewską—oryginał Heinego (z „Buch der Lieder",18):

Du Lilie meiner Liebe,
Du stehst so träumend am Bach,
Und schaust hinein so trübe,
Und flüsterst Weh und Ach!

„Geh fort mit deinem Gekose!
Ich weiss es, du falscher Mann,
Dass meine Cousine, die Rose,
Dein falsches Herz gewann".

[2] Wiersz ten przedrukował w „Pionie" d. 30 listopada 1935 r. (nr. 113) p. A. Czyżewski, uważając go za... wyraz stosunku Żeromskiego do Marszałka Piłsudskiego („O stosunku Żeromskiego do samego Komendanta najlepiej świadczy... Jest jeszcze jednym momentem [sic!] ułatwiającym ogarnięcie i zrozumienie legendy nowej Polski, której na imię Polska Józefa Piłsudskiego"). W rzeczywistości wiersz ten z Marszałkiem Piłsudskim ma ten tylko związek, że został ogłoszony 19 marca. Pocóż wzywać wielkiego imienia nadaremno!

6. Wpisany d. 10 marca 1920 r. w albumie p. Karoliny Firlej-Bielańskiej „urywek z noweli, która nigdy już nie będzie napisana" p. t. „Śpiewak" ogłoszony został w „Ruchu Literackim" 1928 r. (str. 232).

7. Przedmowę do projektowanego w r. 1923 szwedzkiego wydania „Popiołów" ogłosił p. Jan Lorentowicz w „Wiadomościach Literackich" z d. 21 lipca 1935 r. (nr. 609).

8. Opowiadanie dla dzieci „O pewnym wielkim panu i jego małym murzynku", specjalnie napisane na zamówienie Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zostało ogłoszone przez pp. Juljusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego w wypisach p. t. „Miej serce" (1930) na str. 115—120.

*

Tyle uzupełnień „inwentaryzacyjnych". A oto uzupełnienia i sprostowania do tekstów już ogłoszonych w „Elegjach".

a. Aforyzm „Morze" (str. 377) z r. 1925 jest — jak stwierdzili: p. Stanisław Adamczewski („Serce nienasycone", [1930], str. 414) i p. Kazimierz Czachowski („Ruch Literacki", 1932, str. 221) — warjantem słów Bożyszcza z początku sprawy IV-ej „Róży".

b. [„Napis"] z „Epitaphium Sewera" z 1902 r. (ogłoszony na str. 378 „Elegij") — jak zauważył p. Stanisław Adamczewski — wszedł w zmienionej nieco postaci do „Popiołów", mianowicie do rozmyślań Rafała w rozdziale „Wiosna", w tomie I.

c. Utwór „Z dziennika" (str. 30 — 39) był drukowany jeszcze i w drugiem i w trzeciem wydaniu „Opowiadań"; usunięty został dopiero z czwartego (1910). Przypisek w „Elegjach" na str. 382 mówił o tem niedokładnie.

*

Słów kilka wreszcie o utworach dotąd nie odszukanych.

a. Prof. Ujejski podał (w „Ruchu Literackim", 1927, str. 274) informację o treści zaginionej noweli „Pocałunek" z r. 1889 lub 1890.

b. Od prof. K. Krzeczkowskiego mam wiadomość o istnieniu artykułu Żeromskiego o Napoleonie. Podobno był drukowany w „Nowej Reformie"; ale kiedy? 1908? 1909? Może go ktoś odnajdzie?

Warszawa. *Wacław Borowy.*

M A T E R J A Ł Y

DROBIAZGI STAROPOLSKIE (I.)

ANNA ZBĄSKA ZE STANISŁAWSKICH

Anna Zbąska ze Stanisławskich, podkomorzyna lubelska tudzież „świadoma fortuny omylnej" autorka żałosnych Trenów z r. 1685, zawdzięcza miejsce w literaturze odkryciu Aleksandra Brücknera oraz badaniom pani Kotowej. „Transakcyja albo opisanie całego życia jednej sieroty" (BPP № 85) talentu literackiego nie ujawniła. Zawarł jednak pamiętnik rymowany Stanisławskiej mnóstwo szczegółów różnego znaczenia do dziejów obyczaju epoki: od opisu konkurów z pierścionkiem na „niezabudesz" i lutnistą Jana Bogusława Zbąskiego, który z miłości dla poetki kraj chciał porzucać, aż po obiad księży na prowincji (bigos z pieczeni wczorajszej i kapłon onegdajszy). Wartość tekstu Stanisławskiej jako źródła historycznego jest niewątpliwa.

Niewiele wiemy o studjach literackich podkomorzyny lubelskiej, która zapragnęła zostać autorką. Zarys lektury Stanisławskiej jest bardzo ogólny [1], ona sama złożyła jedynie dowody znajomości tekstów biblijnych oraz listu króla Jana po zwycięstwie wiedeńskiem (drukowany w r. 1683). Środowiska, w których żyła, oraz sprawy, które jej przyszło rozumieć (wojenne, sądowe), nie sprzyjały głębszej pracy umysłowej. Anna Stanisławska umiała patrzeć trafnie, słowo jej było celne i dowcipne, koleje osobiste niepospolite i pełne przygód. Wielka dama, jak mówi Brückner, do literatury współczesnej nie zbliżyła się wcale; życie, nie cudze pisma, nauczyło ją pisać.

A jednak spotkań autorki z piśmiennictwem epoki wskazać możemy parę. Salomon polski, marszałek Lubomirski („godzien, żeby go słuchano") uświetnił oracją wesele jej z Oleśnickim. Katarzyna Siemiotkowska pod okiem macochy Anny napisała i ogłosiła drukiem „Gospodarskie nabożeństwo" (1670). Może właśnie ten przykład kobiecy zachęcił Stanisławską do pióra? Ale pani Siemiotkowskiej więcej słów trzeba było na usprawiedliwienie „białogłowskiego konceptu".

Zanim myślała Stanisławska o poezji własnej, stała się bohaterką cudzego wiersza: złośliwej gadki w rodzaju morsztynowskim, wymierzonej w proces rozwodowy Anny z Warszyckim [2]. Odezwał się niezadługo panegiryk: na ślub Stanisławskiej ze Zbąskim (1677) ułożył pochwałę genealogiczną pijar Benedykt Zawadzki (Captivus amor, 1678), gdzie komplimentował Annę ponad miarę: „...Formata es Palatinis Parentum manibus in unam Poloniarum Gratiam, Anna nobilissima, sed in Te non una, non tres, at mille surrexere Gratiae. Verecundia qualis Pulcheriae, pudor qualis Penelopes, fortitudo qualis Camillae, prudentia qualis Semiramidis, amor coniugalis qualis Alcestis..." [3] Ledwie niektóre z tych zalet Stanisławskiej poświadczył jej portret współczesny. Ona sama, niezbyt biegła w łacinie (pisała: inkognito, wenikreator, parswaduje...) mogła nawet niewszystko w pochwale pijarskiej wyrozumieć. Benedykt Zawadzki żył przyjaźnie z Janem Zbąskim, biskupem warmińskim [4], który uczestniczył gorliwie w konkurach brata stryjecznego; może właśnie inicjatywa biskupia kierowała piórem Zawadzkiego?

Pożycie Anny Stanisławskiej ze Zbąskim, mącone wprawdzie chorobą i nieporozumieniami o „substancję", upłynęło w szczęściu i miłości: „Wróciły się czasy one, które były zapomnione — pisze poetka — bom się już nie spodziewała, ażebym tak kochać miała!" Wyprawa wiedeńska, na którą Zbąski pociągnął, przyniosła mu sławę dobrego żołnierza i ranę śmiertelną. Podkomorzy lubelski i rotmistrz J. K. M. umarł z początkiem listopada r. 1683. Anna pozostała w ciężkim żalu. Śmierć męża opłakała w dwa lata później strofami, które świadczą wymownie o intensywności i prawdzie przeżycia.

Prócz armat, rozlegających się na pogrzebie rotmistrza, uczczono pamięć jego drukiem. „Nagrobek panu Zbąskiemu", zapomniane świadectwo literackie śmierci żołnierskiej, nie przynosi rysów nowych do charakterystyki człowieka. „Zacny Epaminondas sarmacki" walczył „jako lew" pod Wiedniem, o czem wiemy już choćby z „Trenów" żony. Szko-

---

[1] Ida Kotowa, Pamiętnik Literacki XXXI (1934), s. 283.

[2] Zdaniem dra Weintrauba, przygotowującego krytyczne wydanie poezyj Andrzeja Morsztyna, niema wskazówek dość pewnych, by uznać tu autorstwo Morsztyna.

[3] B. Zawadzki, Mercurius civilis Warszawa 1695, s. 299—300.

[4] Zob. B. Zawadzki, Lyricorum libri IV. Warszawa 1694, s. 76—77.

larska uczoność nagrobka nie odbiegła od nakazu wieku; jedynie apostrofa końcowa do Anny rozlega się akcentem prawdziwszym. Przejmujący wątek ostatnich „Trenów", wyrażony tu słowem panegirycznem, utracił wartość osobistą i brzmi pospolicie. Autora nagrobka nie znamy, ale z toku wiersza domyślić się można, że było to pióro duchowne — z grona klijentów biskupich lub księży lubelskich, z którymi Stanisławska przestawała.

Wiersz uszedł uwadze bibljografji i dziejopisów żywota poetki. Wśród zbiorów rewindykowanych znajduje się w Bibljotece Narodowej. Druk anonimowy, bez roku i miejsca wydania (szczegółów tych niepodobna narazie dopełnić), przedstawia dziś kartę in 4⁰, przytem trudno odgadnąć, czy jest to fragment druku, czy też ulotka współczesna. Jeśli rozumiemy trafnie aluzję „Trenów", jako zapowiedź epitafjum dla Zbąskiego obcego pióra (strofy: 744, w. 7—8 i 745, w. 1—2), słusznie może zwiążemy te słowa z tekstem poniższym. Wówczas sądzić wolno, że jest to szczątek pisma obszerniejszego. Ale Załuski oglądał druczek w postaci obecnej, skoro zwyczajem własnym zaznaczył w tytule nazwisko Zbąskiego czerwonym ołówkiem. Tekst wiersza, odbity niestarannie, zdobi pospolita winjeta drukarska.

Nagrobek

Jego Mości Panu Bogusławowi

z Szbąszyna Sbąskiemu, Podkomorzemu

Lubelskiemu, Rotmistrzowi J. K. M.

Tu Bogusław Jan Sbąski, zacny Podkomorzy
Lubelski leży, lecz mu Niebo jasnej Zorzy
Dodaje, by świeciło za jego dzielności,
Ktore Ojczyźnie świadczył od swojej młodości.
On za Boga, Ojczyznę bieg swego żywota
Skrocił, mając śmiertelne otworzone wrota.
Zacny Epaminondas sarmacki zaginął,
Ten, co dzielnością, męstwem w swej Ojczyźnie słynął.
Pożyty od Atropos, od lichej Bellony
W żadnych jeszcze utarczkach mąż nieustraszony.
Już złożone[j] Alcydy broni nie piastuje,
Nie żyje i bułatem ostrym nie kieruje.
Już łzami bohatyrskie świątobliwe ciało
Zmoczone, w cięmnym grobie w Krakowie zostało,
Duszy zaś jego niech Bog wiecznego pokoju
Dodaje z obfitego łaski swojej zdroju.
A ty, zacna Matrono Anno pozostała,
Czyń dobrze duszy jego, jakoś go kochała.

Warszawa. *Tadeusz Mikulski.*

MICKIEWICZOWSKA BAJKA »PRZYJACIELE«

JESZCZE JEDNO DOMNIEMANE ŹRÓDŁO UTWORU

Prof. W. Bruchnalski wykazał, że Mickiewicz „zaczerpnął treść bajki „Przyjaciele" z Ezopa, ale rozszerzył ją, udialogizował według maniery lafontenowskiej, przeniósł akcję na Litwę i przypisał ją Leszkowi z Mieszkiem". Czy poecie nie przyświecał w przetwórczej pracy jakiś polski przekład, jakaś polska wersja?

Do ulubionych oper, jednych z pierwszych w polskim języku eksekwowanych na Teatrze Narodowym w Warszawie, acz nie oryginalnie po polsku napisanych, należała jednoaktowa opera francuska (według dzisiejszej terminologji operetka) p. t. „Dwoch strzelców i mleczarka" (Deux chasseurs et la laitiére), do której libretto ułożył Anseaume (1721—84), paryski sekretarz i sufler teatru a la Comoedie, a muzykę neapolitański kompozytor, w Paryżu przebywający, Egidio Romualdo Duni (1709—1775). Przekład jej wyszedł w Warszawie 1781, dokonany przez J. Bodouina.

W tej operze natrafiamy nietylko na udramatyzowaną ale i w Polsce, w okolicach Warszawy, zlokalizowaną (strzelec Józef w sc. 2 mówi o butelce miodu: „Jak byłem na Pradze, kupiłem go za Bernardynami; wszak wiesz, że tam najlepszy. Icek kredytuje, co szynkuje) tę bajeczkę, do iluzji scenicznej adoptowaną. Ponieważ tekst tłumaczenia dziś do rzadkości bibljotecznych należy, cytujemy te sceny, które przedstawiają najście niedźwiedzia na dwóch przyjaciół strzelców Jana i Józefa, polujących na niedźwiedzie.

SCENA VI.

Jan (przybiegając): Gwałtu! Gwałtu! Józefie uciekaj! Niedźwiedź mnie goni.
Józef: Ach! zginęliśmy! (ucieka na drzewo).
Jan (leci na teatr): Boże, w cóż się obróce (chce wleźć na drzewo — nie może).
Józef (włażąc na drzewo): Pożre nas zapewne.
Tu wchodzi Niedźwiedź.
Jan (widząc go wchodzącego rzuca się na ziemię): Ah! zginąłem!
Józef (na drzewie): Ratuj, kto w Boga wierzy, hej, Pietrze, Błażeju, Kubo, ah biedny Jan (Niedźwiedź idzie do Jana, przewraca go i opuszcza. Idąc do drzewa, na którym był Józef, powraca do Jana i odchodzi rzucając głowę)! Nie ruszaj się, zatrzymaj dech, czyń się umarłym! Do mnie powraca, ah zapewne on sobie z nas obydwóch bankiet wyprawi (drapie się Józef, ile może, na drzewo). Janie, Janie, powraca do ciebie, strzeż się! Nikt nie przychodzi dopomóc nam. (Niedźwiedź odchodzi). Ale odchodzi przecie (schodzi z drzewa aż na środek, jednak z pośpiechem nazad powraca). Gdyby przyszedł... nie, nie... obraca się ku puszczy (schodzi). Janie, Janie, już niedźwiedź precz poszedł.
Jan (podnosi trochę głowy): Ah!
Józef: Wstańże!
Jan: Już nie mogę.
Józef: No i cóż, kochany współkolego?
Jan: Tak! Współkolego nieszczęścia. Niepodobna, ale djabeł musiał się przymieszać do tego. Nie powracasz on, drżę cały.
Józef: Oh, już nie wróci, daleko jest.
Jan: Nie tak bardzo, nie tak bardzo.
Józef: A to czemu?
Jan: Już nie może uciekać.
Józef: Jakto? Postrzeliłeś go?
Jan: A bezwątpienia, nie widziałżeś, jak biegł na ogień? (i t. d).

SCENA IX: Arja Anusi (mleczarki):

Powiadasz, iż mię zrobisz szczęśliwą,
Ty spodziewasz się, lecz na nieszczęście,
Nadzieja zawsze bywa kłamliwą,
Niebezpieczne jest takie zamęźcie,
Ten amant, który nagle obiera,
Prędzej czy później błąd swój poznaje,
Potem dopiero, gdy głód przyskwiera,
Że źle rachował, widzieć się daje.

Jan: Ah, to wielka prawda!
Józef: Czego się ty mieszasz do nas, daj nam pokój!
Jan: Ale, bo mi toż samo powiedział jeden, co nigdy nie kłamie.

Józef: Któżto był taki? Bo ty zawsze musisz się czynić wielkim człowiekiem. Zawsze jakieś głupstwa ma w głowie.
Jan: Kto mi powiedział?
Józef: Tak jest.
Jan: Niedźwiedź.
Józef: Niedźwiedź ci powiedział? A to znowu nowe głupstwo.
Jan: Tak jest powiedział mi do ucha.
Anusia: Ah, to musi być ciekawe, no cóż takiego?
Józef: Piękne bajki nam prawisz i cóż mówił przecie?
Jan: Oh! rzeczy takie, o których nigdy nie zapomnę...

Na tem tu właśnie miejscu leżałem
I z całego serca drżałem,
„Już ci dzisiaj więc nic nie zrobie,
Rzekł — uspokój bojaźń w sobie.
Ale powiedzże kamratowi,
Że nadzieje są mylnemi,
Skóry nie sprzedaj kupcowi,
Aż niedźwiedź będzie na ziemi i t. d.

Operę tę zapewno znał Mickiewicz, bo i niektóre z niej wyjątki przez długi czas były popularnemi (cf. Piosnki i arje, 1801 r.), i być może, że sceny z niej wirowały w jego wyobraźni twórczej.

Kraków. *Stanisław Zetowski.*

ORZESZKOWA OPIEKUNKĄ BIBLJOTEKI POLSKIEJ W RUMUNJI

Leży przede mną szesnaście nieznanych listów E. Orzeszkowej do dra Juljana Łukaszewskiego, a w świetle tej korespondencji odsłania się znakomita nasza pisarka jako opiekunka Bibljoteki Polskiej w Rumunji. Adresata, lekarza z zawodu, zagnały losy po powstaniu styczniowem do Rumunji, gdzie przeszło ćwierć wieku pozostał wśród naszych emigrantów, rozprószonych tu po miastach i wsiach przeróżnych, żyjących bez najmniejszej spójni gromadzkiej, bez żadnych związków i organizacyj. Otóż ten polski żywioł, skazany wprost na poniewierkę i zagładę, postanowił Łukaszewski zorganizować w jednej instytucji, którąby stała się ogniskiem polskości dla tych rozprószeńców, karmiła ich słowem i myślą, wspomagała materjalnie w chwili niedostatku i bezrobocia, łączyła ich z życiem polskiem w kraju i na obczyźnie. Dzielny społecznik wziął się energicznie do dzieła, nawiązał stosunki z wybitnemi osobistościami, szeregiem znakomitych wówczas pisarzy, szczególnie z Kraszewskim, Miłkowskim, Libeltem, Gillerem i Orzeszkową, którzy swem piórem gorąco popierali zaszczytne przedsięwzięcie rumuńskiego rodaka. A tak ta narodowa instytucja siłami całego narodu powołana została do życia, zarówno przez emigrantów, jak też rodaków w kraju, przyczem wszystkie ziemie udział w tem swój objawiły.

Niewiele świadczyć mogła Litwa. Korespondencja Orzeszkowej rzuca przy tej sposobności bardzo wiele światła na ówczesne stosunki umysłowe tej ziemi i na fatalne położenie pisarki. Na pierwsze wezwanie do pomocy na rzecz Bibljoteki donosi, że „trudno tu wielce obudzić myśl nieco żwawszą, trudniej jeszcze wywołać czyn, któryby nie miał związku z bezpośredniemi, codziennemi potrzebami lub przyjemnościami ludzi", zapewnia, że „Litwa jest wierną, lecz myliłby się ten, ktoby mniemał, że wierność jej w porze obecnej do służby czynnej skłaniać ją może, bo wierność stała się tu oddawna biernym tylko oporem". A ta bezczynność, wywołana bojaźnią, doprowadza do uśpienia i absenteizmu, a nawet do znienawidzenia tych wszystkich, którzy tę uśpioną społeczność budzą do życia. Więc i takich jednostek niewiele, z kobiet autorek, redaktorek ona jedna na Litwie dźwiga autorskie kobiece pióro.

Zresztą żyje Orzeszkowa w tym czasie (r. 1881) w fatalnych stosunkach, jak na pustyni, bo dla Grodnian sprawy ogólne tak niezrozumiałe, jak mowa chińska, ona sama dla przekonań śmiało wypowiadanych niemile widziana. W latach następnych położenie jej

jeszcze gorsze. W lutym 1885 pisze, że „od lat trzech jest wygnanką w kraju własnym i uwięzioną, choć wolno jej odbywać przechadzki po ulicach małego miasteczka", narzeka, że „zrujnowano ją materjalnie, a moralnie przez nadzór policji, który wcale żartem nie jest, bo czyniono jej niemożliwemi wszelką działalność, wszelki wpływ, wszelkie odetchnięcie świeżem powietrzem na szerszej przestrzeni", żałuje, że „nieobrachowana ilość zdolności i sił naszych w ten sposób przepada", że „nikogo prawie nie widuje, z każdym krokiem i każdem słowem liczyć się musi, że szczupła gromadka ludzi jednej mowy na jednym z nią bruku mieszkająca uboga jest, jedynie kawałkiem chleba zajęta, lękliwa, niezmiernie mało oświecona". Wogóle „surowość czasów zamiast zmniejszać się wzrasta"; zamykają jej księgarnię w Wilnie, czuje się kompletnie skrępowaną.

A jednak usiłuje pośpieszyć z pomocą Bibljotece Polskiej w Rumunji. Obiecuje uwiadomić mieszkańców Litwy o jej istnieniu, skłonić ich do popierania tej instytucji, ze swej strony każe kierownikowi swojej księgarni wileńskiej wysłać pewne książki oraz radzi Łukaszewskiemu skierować wprost z Jass do niektórych szlachetniejszych osób na Litwie wezwanie do współdziałania, przez co dokonywałyby się starania naraz w kilku okolicach i kółkach towarzyskich, a spodziewaćby się można od nich książek i pewnych datków pieniężnych. Doradza też porozumieć się z Warszawą, z p. Ilnicką, redaktorką „Bluszczu", zacną i gorącą patrjotką, która mogłaby nawet zdobyć pozwolenie władz rządowych na zbieranie książek i składek za pośrednictwem swego pisma, co jest możliwe, bo władze na podobne manifestacje pozwalają; ta droga może byłaby prawdziwie skuteczną, bo wprowadziłoby sprawę na teren publiczny. Zresztą poleca jeszcze jedną współpracowniczkę „Bluszczu", oryginalną Lucynę Ćwiernikiewiczówną, kreśląc wspaniałą jej charakterystykę: „ruchliwa, krzykliwa, nieustraszona, gotowa zawsze dla celów swych ludzi za gardło brać, albo im oczy wydzierać... bylebyście trafili do tkliwości jej i próżności, zbierze dla Was więcej niż 10 takich jak ja, albo nawet Ilnicka". Sama zaś pisarka wysyła bezpłatnie swoje wydawnictwa, obiecuje przez swą księgarnię zebrać coś dla szkółki, żywi nadzieję, że dopełni się fundusz na szkołę polską w Jassach, zwłaszcza że niewiele go zostało, a Łukaszewski „przy tak dzielnem kierownictwie i tak niezmordowanem „kiwaniu gęsią" pieniądze zdobędzie". A jednak okazało się, że o pieniądze było najtrudniej. Orzeszkowej nawet było przykro, że tak niewiele mogła dla Bibljoteki zdziałać, usprawiedliwiała się, że przy każdej sposobności opowiada rodakom o tej pięknej instytucji, że zachęca do zajęcia się jej losami, że ta jej propaganda pewien skutek odnosi, ale walka z miejscową apatją jest bardzo trudna. Poddaje wówczas Łukaszewskiemu myśl skreślenia przez niego dziejów Bibljoteki Polskiej, dołączenia wyników statystycznych, uwzględnienia moralnej i społecznej jej dążności, obiecuje dostroić tę broszurę do tonu cenzuralnego, opublikować ją i rozsprzedać. A kiedy trudno mu było pisać o swojem własnem dziele, bo patronował powstaniu i rozwojowi tej instytucji, był jej duchem przewodnim, wówczas pośpieszyła Orzeszkowa z fachowemi uwagami, zaznajomiła go z ówczesną cenzurą i sposobem pisania takich artykułów. Do wydania wspomnianej broszury wtedy nie doszło — przecież myśl o niej pozostała, a po kilku latach rzecz tego rodzaju istotnie Łukaszewski napisał i pomieścił w księdze pamiątkowej Bibljoteki, do której nadesłała swój artykuł także Orzeszkowa, usprawiedliwiając się, że nowelę było jej trudniej napisać, bo wtedy (styczeń 1890) „siły jej do pracy nie dopisywały" i na nowele „są nieustanne i tak naglące i tak zwłoki ni spokoju nie dające żądania, że wyczerpują się na nie tematy i siły". Kiedyindziej znowu zwracała się pisarka po pomoc do Bibljoteki, a mianowicie po strasznym pożarze Grodna, którego pastwą padło prawie całe miasto, zredagowała do Zarządu Bibljoteki specjalne pismo, a w niem wymownie pisała o potrzebie wsparcia ziomków, wpadających w otchłań materjalnej i moralnej zguby, bez czego „rozprószyć się mogą i społeczeństwu naszemu odjąć swe dusze i siły". I nie brakło wśród Polaków rumuńskich ludzi ofiarnych, którzy zachęceni przez Łukaszewskiego pośpieszyli pogorzelcom z pomocą.

Pogłębiały się też stosunki Orzeszkowej z Bibljoteką Polską w Rumunji, łączyła ich wspólna niedola, położenie omal podobne w krajach tak sobie odległych, a to zestawienie ma pisarka niekiedy na myśli. Listy ich wymienne mają więcej niż konwencjonalne znaczenie. W nich przewodnicy umysłowego życia wypowiadają się na temat położenia w zamieszkanych przez siebie krajach, mówią o apatji w społeczeństwie, jej przyczynie, mówią o roli przywódców narodu, zapytują się, czy zadania swoje spełnili, mówią o swojem osobistem położeniu. Przez to stają się te listy niezmiernie ciekawe. A były też pełne znaczenia i w swoim czasie, bo hartowały w pracy tych pracowników „czarnej gleby", bo płynęło w nich dużo serdeczności, dużo zachęty do pracy, dużo tego przeświadczenia, że jednak zadania swoje skutecznie wykonali. Ale niech na ten temat powie sama Orzeszkowa (9 luty 1889): „Przyszłość nazwie nas niezawodnie pracownikami „czarnej gleby", a jestżeż w możności czyjejkolwiek uczynić co ciemnościom tak i tyle, jak i ile uczynić by można przy świetle dnia i słońca? Każdemu z nas mniej albo więcej przypadła część zdolności,

sił, gorących chęci i zupełnej możności działania. Nikt może właściwej sobie miary wzrostu nie dosięgnął i odpowiedniego sobie ciężaru do gmachu ogólnego nie przyniósł, gnąc się i malejąc, skądinąd pod brzemionami często przechodzącemi siły. Stąd bardzo naturalne i nawet konieczne żałości i wątpienia przy oglądaniu się na drogę przebytą. Jednak po zastanowieniu się i pilnym rozbiorze, przyjść musimy do uspokajającego wniosku, że to co powierzyły nam dzieje, spełnialiśmy wiernie i nie bez skutku. A szczególne, wyjątkowe to zadanie! Nie wzmagać, nie rozszerzać, nie wzbogacać życia naszego rodzimego zbiorowiska dzieje nam rozkazały, ale tylko iskry jego strzec i rozdmuchiwać — aby nie zgasła. Nie zgasła! tleje! czasem nawet płomykiem bucha! Nie podobna, abyśmy nie przyznali sobie, żeśmy każdy, czem i jak mógł to jej przetrwanie ułatwili. Więc choć to były drobne ziarna, skromne gałązki, tchnienia słabe, bo hamowane, dokonaliśmy zadania, danego nam przez czas — i w tem pociecha życia i spokój śmierci naszej.

Do Was, Najszanowniejszy Panie, czyniącego rzecz trudną, ważną i wysoce tej iskrze pożyteczną, stosuje się to w zupełności, ale nie myślę, abym zarozumiałością grzeszyła, mniemając tak w części choćby i o sobie. Życie mi przeszło w pracy dla tej iskry, — takiej, jaką pełnić pozwoliła mi „czarna doba". Chciałam i — otwarcie powiem — mogłam więcej, lecz że skurczyło i zmaliło mię brzemię na nas wszystkich ciążące, mojaż wina? Co będzie po nas? — zapytujecie. Przyjdą inni — zapewne szczęśliwsi i przy większem świetle pod lżejszem brzemieniem żyjący i działający — a może jeszcze i takież jak my, nocne ptaki; ale przyjdą, tego pewna jestem i czegośmy srzegli, strzec będą i cośmy przechowywali przechowają. Wierzę w to mocno i oczywistość na naszym i na innych narodach stwierdzona wierzyć w to każe".

Lwów. *Bronisław Nadolski.*

LISTY ORZESZKOWEJ

SPRAWY WYDAWNICZE

Z bogatego księgarskiego archiwum Gebethnera i Wolffa (złożonego częściowo w Bibljotece Narodowej w Warszawie), wyjmujemy list Orzeszkowej, nieobojętny może dla poznania spraw i kłopotów edytorskich pisarki. Chodzi o dwutomowy spory zbiór nowel: „Melancholicy", wydany następnie z datą 1896 r., a drukowany u Anczyca w Krakowie. Objął on nowele: I. Z pomroku; Jedna setna; Światło w ruinach, Ogniwa; II. Ascetka; Wielki; Bracia. Pisownię zostawiamy bez zmian.

P. G.

21/XII 94
Grodno

Szanowni Panowie,

Pisze mi pan L. Meyet o życzeniu Sz. Panów, aby dwa tomy nowel wiadomych nosiły dwa oddzielne na tomie każdym tytuły. Żałuję bardzo, że życzeniu temu zadość uczynić nie mogę, ponieważ ten szereg noweli, połączony jedną ideą, tworzy pewną całość, ze względów literackich nierozdzielną. Jednak, z drugiej strony pojedyńcze nowele są także całościami zamkniętemi w sobie, tak, że, jak mi się zdaje, nic przeszkadzać nie będzie sprzedawaniu tomów każdego z osobna, pomimo wspólnego ich tytułu. Tym tytułem ma być, wedle ostatecznie powziętej decyzji: Melancholicy.

W liście p. Meyeta jest jeszcze rzecz o którą pragnę porozumieć się z Szanownymi Panami bezpośrednio: mianowicie, drukowanie tych nowel w Krakowie. Jeżeli to dla cenzury, wzgląd ten znikać się zdaje wobec faktu wydrukowanych już raz rzeczy pod cenzurą warszawską, w ostatnich już czasach, z wyjątkiem Światła w Ruinach, drukowanego w Krak. ale nie zawierającego nic coby mogło narazić się cenzurze. Raczcie więc Panowie postąpić w tem tak, jak Im samym będzie dogodniej.

Czy p. Meyet doręczył już Szan. Panom Materjały znajdujące się w Jego ręku? W razie przeciwnym, wdzięczną będę za łaskawe zgłoszenie się po nie (Włodzimierska, 6). Pozwalam sobie przypomnieć pamięci Panów dwa egzempl. wydania ozdobniejszego Królowej Niebios, o które prosiłam. — Łączę też prośbę o zwykłe zaprenumerowanie na rzecz moją Revue d. d. monde i Revue Bleue. Z wysokiem szacunkiem

El. Orzeszko-Nahorska.

[Na czele listu inną ręką dopisano: „Orzeszkowa 8/I 95 posłano R 400 odpis d 12/I 95"]. Wewnątrz listu przylepiony kwit wysyłkowy poczty warszawskiej na 400 rb. po ros.]

LIST DO MICHAŁA GREJMA

List do Michała Grejma, wielkość: 13·5 cm×21 cm, papier biały bez znaków. Adres na kopercie: W Kamieniec Podolskij Fototipograficzeskoje zawedeńje Jego Wysokorodiju Michaiłu Grejmu. Na piecz. z Grodna: 27. XII. 1891, Kam. Pod. 31. XII. 1891.

27/XII 91. Grodno.

Szanowny Panie!

List pełen ciepła serdecznego i towarzyszące mu album prześliczne, były dla mnie radośną niespodzianką, za którą śpiesznie i gorąco Panu dziękuję. Niezmiernie ciekawym i z wysokim artyzmem wykonanym typom podolskim dosyć napatrzeć się nie mogę i teraz już czuję, że przypatrywanie się im częste będzie nieraz iskrą ożywcza dla wyobraźni mojej, a dla opisów studnią wybornych wzorów.

Wiadomość, że wśród rodaków moich, posiadam takich jak Pan przyjaciół nieznanych, a szanownych, napełnia mię szczęściem i dumą, w których czerpać będę siły do pracy dalszej, do pracy najgorliwszej, którąbym mogła choć w części spłacić swój wielki dług wdzięczności.

Pragnęłabym bardzo posiadać fotograficzny portret nieznanego przyjaciela, przez którego tak wspaniale i w sposób tak przyjemny obdarzoną zostałam. Wszak Pan nie odmówisz prośbie, którą zanoszę z szacunkiem wysokim i prawdziwą, szczerą wdzięcznością.

El. Orzeszkowa.

Drugi list również do Kamieńca Pod. pisany; form. 21·9 cm×17·8 cm (1 kartka), papier szarawy, bez znaków. Adres na kop.: Podolskoj gub. w Kamieniec Podolskij ul. Pocztowaja. Jego Wysokobłagorodiu Leonu Rakowskomu. Na piecz. Grodno 13. 2. 08 i Kam. Pod. 16. 2. 08. Tekst listu:

12. II. 1908 Grodno,

Szanowny Panie!

Głęboko rozrzewniona dobrocią i pamięcią Pana, za wczoraj otrzymane podarunki śliczne i bardzo mi drogie, przesełam podziękowanie z serca płynące i gorące. Niech Pan wierzy w szczerą wdzięczność moją i wraz z jej słowami przyjmie wyraz mego szacunku wysokiego, jako też życzenia najlepsze, które składam oddalonemu w przestrzeni, lecz tak wysoce i szlachetnie przyjaznemu mi rodakowi.

El. Orzeszkowa.

Nie umiem bliżej objaśnić ani osoby Rakowskiego ani też okoliczności napisania tego listu. Pismo listu wyraźne i czytelne; charakterystyczne łączenie wyrazów („zserca płynące", „wyrazmegoszacunku"...) Oba listy cechuje głęboka serdeczność i dobroć. Listy znajdują się w lwowskich zbiorach podpisanego.

Trzemeszno. *Jan Świerzowicz.*

R E C E N Z J E

ŹRÓDŁA ›POPIOŁÓW‹ ŻEROMSKIEGO

GRODZICKI AUGUST. Źródła historyczne ›Popiołów‹ Żeromskiego. Kraków 1935, str. 80. Osobne odbicie z Rocznika Wydziału Filozoficznego U. J. Tom I. 1930—34 pod redakcją prof. dra Zdzisława Jachimeckiego. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Warszawa Nowy Świat 72.

Autor postawił sobie zadanie: odszukania i charakterystyki źródeł, z których twórca „Popiołów" korzystał, zbadania procesu twórczego przetwarzania materjału historycznego w dzieło sztuki oraz scharakteryzowania Żeromskiego, jako powieściopisarza historycznego. Założenie słuszne, najbardziej właściwe. Znakomicie wywiązał się autor z odszukania źródeł historycznych. 33 pozycje podane w bibljografji źródeł, rozwiązują prawie całkowicie to zagadnienie. Przy zestawianiu odpowiednich tekstów źródeł i „Popiołów", autor potrafił zachować umiar, umiejętnie skracając zbyt długie ustępy, a w krótkich wnioskach podkreślając, co i w jaki sposób, wyzyskał Żeromski w powieści.

Jak ustosunkowuje się autor pracy do bogatego materjału źródeł, stanowiących historyczne i obyczajowe tworzywo „Popiołów"? Wydaje mi się, że poszedł tu po linji najmniejszego oporu, układając materjał źródłowy według miejscowości, w których rozwija się akcja powieści. Gromadzenie źródeł równolegle do akcji stanowi może ułatwienie w lekturze, ale utrudnia rozwiązanie zagadnień samemu autorowi, bowiem obok źródeł ważnych i zasadniczych zjawiają się uboczne, z których Żeromski czerpie zaledwie kilka lub kilkanaście wierszy. Taka metoda pracy utrudnia wyrobienie sobie zdania o stosunku Żeromskiego do historji i źródeł historycznych, zaciera wzajemne ustosunkowanie się materjału, wchodzącego w obręb „Popiołów", cały ciężar tych zagadnień opracowuje p. Grodzicki we „wnioskach", podkreślając doskonałą intuicję autora „Popiołów" w odtworzeniu ducha i kolorytu epoki. Wnioski p. G. są logiczne, choć nieco ogólnikowe. Bogaty materjał dawał większe możliwości do charakterystyki autora „Popiołów".

Długą listę bibljografji źródeł, jaką podaje p. Grodzicki, uzupełniam jeszcze trzema pozycjami, są to: roczniki Gazety Warszawskiej z lat 1806—9, Michała Wiszniewskiego „Podróż do Włoch, Sycylji, Malty" (Warszawa 1848), oraz niemieckie pamiętniki gen. Brandta: które ukazały się po polsku w r. 1878 p. t. „Wspomnienia z wojny w Hiszpanji i Rosji r. 1808—1812".

Sprawozdania wojskowe i rozkazy drukowane we wspomnianych rocznikach „Gazety Warszawskiej" stanowią bogaty materjał źródłowy dla akcji wojennej „Popiołów" na terenie Polski. W numerze z 2 grudnia 1806 r. znajdujemy notatkę o podstępnem opanowaniu Częstochowy przez Polaków i Francuzów (zob. Popioły II, s. 335). Na podstawie aktu powstania województwa sieradzkiego z tegoż numeru i odezwy gen. Lipskiego z 16 grudnia tegoż roku, Żeromski buduje zręczny dialog Sieradzan o tworzeniu „infanterji" i „konnicy" (Popioły II, 336). Wiadomości o rozstrzelaniu burmistrza Differta oraz burmistrza z Gołańczy znajdują się w rozkazie z Poznania w „Gazecie Warszawskiej" z 15 października 1806 r. Niektóre fragmenty z wojny 1807 r. w Polsce czerpał zapewne Żeromski z „Gazety Warszawskiej" tegoż roku. Akcja pod Starogardem, potyczka szwadronu z pułku Dziewanowskiego pod dowództwem por. Łojewskiego (Popioły II, s. 358) oraz atak Prusaków na Dziewanowskiego są wyraźnie wzorowane na „Opisaniu ostatnich czynności dywizji generała Dąbrowskiego", drukowanem w „Gazecie Warszawskiej" 28 lutego 1807 r. Niewola Rafała Olbromskiego (Pop. II, 360) z trębaczem i 3 towarzyszami, których odbił patrol płk. Jana Dąbrowskiego osnuta jest na podobnej notatce w „Opisaniu..." z krótkiej notatki Żeromski tworzy żywy i dramatyczny obraz potyczki, zachowując nawet koloryt dnia. Akcja pod Czarnym Piecem (Pop. III, 3) i Jedwabną wraz z wyróżnieniem 4 kapitanów: Krzyżanowskiego, Kreczmera, Dobrogojskiego i Tatarowicza wzięta jest z raportu płk. Godebskiego drukowanego w „Gazecie Warszawskiej" 14 kwietnia 1807 r., a nawet nużący styl tego sprawozdania wojskowego odbił się na opisie tej akcji w „Popiołach". Ten styl raportów i sprawozdań z czynności wojennych specjalnie zaciężył na opisach akcji w Polsce, bowiem Żeromski przedewszystkiem korzystał tu z takich źródeł, wobec stosunkowo skromnej literatury pamiętnikarskiej, obejmującej wypadki wojenne w Polsce, w zestawieniu z licznemi i barwnemi pamiętnikami z walk w Hiszpanji i Italji.

W numerach „Gazety Warszawskiej" z lat 1806—9 znajdziemy raporty gen. Dąbrowskiego o zdobyciu Tczewa, gen. Sokolnickiego o walkach w Sandomierzu, liczne raporty o zdobyciu Gdańska (wy-

korzystał je Żeromski w „Wietrze od morza“), sprawozdania wojskowe płk. Godebskiego i Krukowieckiego, gen. Zajączka i Fiszera. Materjał ten opracował p. Grodzicki na podstawie rękopiśmiennych „Roczników“ Chodźki. Wydaje mi się, że bliższem i dostępniejszem dla Żeromskiego źródłem była „Gazeta Warszawska“, niż rękopiśmienne „Roczniki“.

Drugą pozycją, którą pragnę omówić jest książka Michała Wiszniewskiego „Podróż do Włoch, Sycylji i Malty“. P. Grodzicki wyraża przypuszczenie, że legendę o wykradzeniu relikwij św. Marka poznał autor „Popiołów“ podczas podróży na Zachód w Wenecji. Przypuszczenie to nieistotne. Legenda pochodzi z książki Wiszniewskiego, przytacza ją Żeromski prawie bez żadnych przeróbek. Historyczne ujęcie dziejów Wenecji w ogólnych zarysach, a nawet w wielu szczegółach, również pochodzi z wyżej wzmiankowanego źródła.

O istnieniu niemieckich pamiętników gen. Brandta wspomina p Grodzicki, stwierdzając, że postać kapitana Wyganowskiego przejął z tychże pamiętników Sulima w swej pracy „Polacy w Hiszpanji“, a stamtąd wziął go dopiero Żeromski. Przypuszczenie mylne. Przejście lansjerów przez Roncevralles, opis krajobrazu górskiego i postać „doncelli“ z „Popiołów“ wyraźnie świadczą, iż Żeromski korzystał z bezpośredniego źródła: pamiętników gen. Brandta, nie poprzestając na kompilacyjnej pracy Sulimy.

Sumienność i dokładność Żeromskiego w wykorzystaniu źródeł da się stwierdzić we wszystkich fragmentach akcyj historycznych. Zdaje sobie z tego sprawę p. Grodzicki. Raz tylko zaskoczony jest rzekomą niedokładnością autora „Popiołów“: „Opis umundurowania szwoleżerów co do barw niezgodny w zupełności z rzeczywistością“... „czapka jest u niego granatowa, zamiast czerwonej, wyłogi na kurtce i lampasy żółte, zamiast również czerwonych“ i t. p. Popełnia tu p. Grodzicki pomyłkę, zarzut jego niesłuszny. Żeromski opisuje strój lansjera, a nie szwoleżera, w sposób najzupełniej prawdziwy. Pułk ułanów nadwiślańskich (chevau-legers-lanciers) utworzony z legji polsko-włoskiej w r. 1808 miał istotnie wyłogi i lampasy żółte.

Ciekawą sprawę wyboru przez Żeromskiego Saragossy a nie sławnej Somo-Sierry motywuje p. Grodzicki tem, że „mógł tu oddziałać również wzgląd na temat, wyświechtany przez takich dostawców lektury historycznej, jak Gąsiorowski“. Na hipotezę tę nie zgadzam się, a użyty epitet dziwnie odbija od poważnego i naukowego tonu pracy. Sprawę tę przedstawię inaczej, opierając się na ustnej relacji dyr. Bronisława Gembarzewskiego, który łaskawie udzielił mi wywiadu. Żeromski, zbierając materjały do powieści historycznej zwrócił się do p. B. Gembarzewskiego, prosząc o dokumenty, dotyczące wojskowości. Zwierzył się przytem, że ma zamiar wprowadzić do powieści pułk lekkokonny gwardji t. zw. szwoleżerów, biorących udział w w ataku na Somo-Sierrę. W długich gawędach z Żeromskim p. Gembarzewski celowo zaciekawił autora „Popiołów“ dziejami pułku ułanów nadwiślańskich, który to pułk składał się ze starych weteranów legji włoskiej, wielu z nich służyło jeszcze pod dowództwem Tadeusza Kościuszki. Pułk ten, składający się z drobnej szlachty i chłopów, pozostał zapomniany kosztem szeroko opiewanego wielkopańskiego pułku gwardji. Koncepcja ta niezwykle odpowiadała psychice Żeromskiego, który nie poszedł za tradycją hołdów głośnej Somo-Sierry, zwracając się ku skromnemu pułkowi ułanów nadwiślańskich, a nie do szwoleżerów gwardji, często spadkobierców historycznych nazwisk i magnackich fortun.

Na tem kończę te skromne uzupełnienia, jakie mogłam dodać do cennej pracy p. Grodzickiego, która jest poważnym dorobkiem w zakresie badań nad Żeromskim. Autor wywiązał się solidnie z postawionych zadań: zebrał, skrupulatnie i wyczerpująco materjał źródłowy „Popiołów“, najważniejsze problemy rozwiązując w syntetycznych wnioskach.

Warszawa. *Marja Borowska.*

TESTAMENT LITERACKI NORWIDA

C y p r j a n a N o r w i d a T e s t a m e n t l i t e r a c k i z 1 8 5 8 r., wydał i objaśnił dr. Tadeusz Przypkowski, Kraków 1935, nakładem Towarzystwa Miłośników Książki, z zasiłku Ministerstwa Wyznań Rel. i Ośw. Publ., str. 14+6 nlb. oraz 2 faksimile autografów.

Nie doczekał się Norwid za życia żadnej pełniejszej i zbiorowej edycji swych pism. Poszczególne utwory, wydane osobno, lub porozrzucane po czasopismach, zwolna pokrywał pył zapomnienia. „Poezje“, wydane u Brockhausa w Lipsku w r. 1863, objęły tylko część pism autora „Promethidiona“. Różne okoliczności zewnętrzne, a także zapewne godność i duma osobista poety nie pozwalała mu, mimo iż znajdował się ustawicznie w niepomyślnych warunkach finansowych, postarać się w sposób skuteczny o nakładcę i druk.

Marzył zaś Norwid o zbiorowem wydaniu swych pism. Świadczy o tem właśnie m. in. wydany ostatnio przez dr. T. Przypkowskiego list poety do przyjaciela Antoniego Zaleskiego, pisany — jak to wydawca określa — w drugiej połowie 1858 r. (Autograf listu wraz z załączonemi notami znajduje się w Muzeum Sztuki Un. Jag.). Ów Zaleski starał się doprowadzić do skutku własnym kosztem zbiorowe wydanie pism Norwida, szanując zaś jego drażliwość, podał w liście do poety wiadomość o jakiejś fikcyjnej nakładczyni, która się miała jego twórczością zainteresować. Norwid w odpowiedzi przesłał wykaz 25 utworów, które chciał widzieć w zbiorowem wydaniu, oraz wyraził pewne życzenia, dotyczące m. in. przedmowy, którą chciał sam napisać, a dalej wykreślenia „dewiz" (motta), wyjętych z Ewangelji i zamieszczonych przy niektórych utworach i t. d. (W ówczesnym nastroju religijnym uważał Norwid za niewłaściwe tego rodzaju „szastanie" — jak się sam wyraża, świętym tekstem). W tymże liście zawarte jest wreszcie pewnego rodzaju „credo" ideowe poety, który swą twórczość artystyczną określa jako „pracę ducha walczącego... przerywaną biegiem wypadków, które całemi narodami trzęsły..." Stąd owe „podruzgotane pieśni", „atramentem mało pisane" (tylko natchnieniem), nie dla druku, nie dla pieniędzy, nie dla „pozycyj, stosunków, koterjów". Stąd jednakowoż wynika również potrzeba zbiorowego wydania, ażeby ciągłość tej pracy i walki czytelnikowi przedstawić.

Ciekawą, ze względu na szereg szczegółów, dotyczących biografji i dziejów twórczości poety, edycję listu, nazwał wydawca we wstępie „hołdem bibljofilów dla Norwida". Istotnie, „Testament literacki" przedstawia się jako oryginalna i kunsztowna edycja bibljofilska, której tekst, wraz z notami i objaśnieniami odbito na specjalnym papierze w efektownym trójbarwnym układzie graficznym.

Kraków. Zygmunt Leśnodorski.

»WANDALIA« KRANTZA

NORDMAN V. A. Die Wandalia des Albert Krantz eine Untersuchung von..· (Annales Academiae Scientiarum Fennicae, B. XXIX, 3), Helsinki 1934, str. 294.

Ogłoszone przez Nordmana w rozprawach Fińskiej Akademji Umiejętności studjum o Albercie Krantzu należy do prac, obok których przejść nie może obojętnie historyk kultury renesansowej w Polsce, ani badacz staropolskiej historjografji. Krantz bowiem, uczony kanonik hamburski (zm. 1517), wybitny historyk i geograf, nietylko poruszał zagadnienia polskie w swej „Wandalji", napisanej w latach 1502-7, ale również dziełem tem związany jest — jak się zaraz okaże — ze sprawami dotyczącemi zagadnień polskich, niezupełnie dla nas jasnych.

Gruntowna praca Nordmana, obejmując biografję Krantza, kładzie duży nacisk na fakt, że autor „Wandalji", dyplomata w służbie Hanzy, zapoznał się dokładnie z całym terenem wpływów tej potężnej organizacji, że teren ów aż po jego wschodnie krańce dokładnie poznał (nawiasem mówiąc, w drodze powrotnej przyjrzał się Polsce!) i, co najciekawsza, wyrobił sobie specjalny patrjotyzm hanzeatycki, z którego wyrosła koncepcja „Wandalji", krainy, pokrywającej się z granicami zasięgu stosunków Hanzy. Usiłując dotrzeć do najstarszych dziejów mieszkańców Wandalji, Krantz ludy te wywodzi oczywiście od... Noego, imię bowiem nadał im wnuk Noego a syn Tuiscona (przodka Germanów), Wandalus. Pomysły te — wysuwane przez Krantza wbrew autorytetowi Eneasza Sylwjusza — są bardzo ciekawe, wiadomo bowiem, że pasjonowały one naszych kronikarzy, Kromera, Bielskiego, Sarnickiego, którzy co do pochodzenia Wandalów pogodzić się nie mogli a księgę Krantza niewątpliwie znali. Studjum Nordmana, systematycznie badające źródła Krantza, znakomicie ułatwi zorjentowanie się w tem skomplikowanem zagadnieniu komuś, kto zabierze się do zbadania genezy popularnych u nas w wiekach XVI i XVII poglądów na fikcyjną prehistorję Polski.

Wśród źródeł, przez Nordmana zbadanych, figurują również rzeczy polskie; okazuje się więc, że Krantz znał „Vita maior Scti Stanislai" Wincentego z Kielc, że nieobcy mu był jeden z żywotów św. Wojciecha, a wykluczone bynajmniej nie jest, że wyzyskał on również inne jeszcze źródła polskie, chociaż ich nie cytuje.

A wreszcie praca Nordmana przynosi rozwiązanie pewnej zagadki bibljograficznej, — o ile mi wiadomo — dotąd nierozwiązanej. W listach Kromera mianowicie czytamy skargę autora na bezprawne wydanie tego dzieła w r. 1575 przez Wechela we Frankfurcie z niepoprawionego rękopisu, ofiarowanego Henrykowi Walezemu. Edycji frankfurckiej nikt chyba z naszych bibljografów nie miał w ręku, Estreicher bowiem opisuje ją powierzchownie, Finkel jej nie wymienia, Czermak zaś, w krytycznym przedruku „Polonji" wspomina to legendarne wydanie (dostępne zresztą w paru bibljotekach polskich) na

wiarę słów Kromera. Wydanie to — jak wiadomo z Estreichera — pojawiło się u Andrzeja Wechela we Frankfurcie nad Menem jako dodatek do „Wandalji“ Krantza; co jednak ciekawsze i co uzasadnia pretensje autora, drukarz zaznaczył, że otrzymał je od kogoś z orszaku Henryka, gdy ten w drodze do Francji przez Frankfurt przejeżdżał, i że po stylu domyślił się utworu Kromera.

Warszawa. *Juljan Krzyżanowski.*

›*BYZANTINOSLAVICA*‹

BYZANTINOSLAVICA, sborník pro studium byzantsko-slovanských vztahů vydává byzantologická komise při Slovanském Ustavě, výkonný redaktor Miloš Weingart. Ročník V. V Praze 1933—1934, v Generální komisi nakladatelství „Orbis“. Praha XII. Fochova 62. Str. 8 nlb., 584.

Zazdrość bierze, gdy się ma w rękach ten wspaniały tom (piąty skolei w ciągu lat niewielu!), zachwycający już samą swoją szatą zewnętrzną, stojącą na najwyższym szczeblu sztuki typograficzno-edytorskiej. Wyborny papier, świetnie odbite, wyraziste ilustracje, a nadewszystko nieskazitelny pod każdym względem druk, mimo że urządziły sobie w nim walne spotkanie wszystkie alfabety (łaciński — z najprzeróżniejszemi znakami diakrytycznemi, grecki, cyrylica, głagolica, grażdanka etc), nie licząc przeróżnych wykresów oraz inskrypcyj, — wszystko to godne największej pochwały. Już więc nawet w zakresie technicznym polska slawistyka nie zdobyła się dotąd na dzieło podobne. A zazdrość nasza rośnie gdy zważymy zasięg wydawnictwa. U nas jedyne obecnie czasopismo slawistyczne bohatersko zmaga się z trudnościami finansowemi. Czesi dystansują nas na polu slawistyki zarówno rozmachem, jak i rozległością swych wydawnictw. Prócz „Slavii“ widzimy tu równie wszechstronną „Slavische Rundschau“, a także takie specjalne, pewnemu działowi zagadnień poświęcone czasopisma, jak „Germanoslavica“ i „Byzantinoslavica“...

Specjalnie zawstydzać nas musi niemal zupełny brak — doniedawna — jakichkolwiek prac polskich na temat związków kulturalnych bizantyno-słowiański. Bibljografja, skrupulatnie prowadzona na kartach „Byzantinoslavica“, świadczy o tem bardzo wymownie. W dawniejszych rocznikach były tu wspominane i omawiane prace prof. Haleckiego, ale te dotyczyły przedewszystkiem spraw politycznych; były sporadyczne występy polskich lingwistów (b. ważne i ciekawe), były też zreferowane, choć pobieżnie, sprawy bizantyńskiego malarstwa kościelnego w Polsce. I na tem koniec. W roczniku 1933—1934 (druk ukończono 31.V. 1934, ale zaczął się o dziesięć miesiecy wcześniej), polski udział przedstawia się ze wszystkich najskromniej, jest wprost nikły. Bibljografja notuje tylko dwie poważne prace Haleckiego (przeoczono broszurkę Z. Oknińskiego o cesarzu Duszanie i jego stosunku do cesarstwa bizantyjskiego) — ale to znów pozycje odnoszące się do dziedziny nietyle kulturalnej, co politycznej. Dopiero drukujący się właśnie rocznik VI przyniesie podobno większą ilość pozycyj w zakresie polskich byzantino-slavica.

Do zrobienia na tem polu jest u nas wiele, bardzo wiele, niemal wszystko. Przed wojną przez długie lata całą bizantynistykę polską reprezentował swą osobą — coprawda znakomicie — prof. Leon Sternbach, któremu godzi się dać tytuł ojca tej gałęzi wiedzy w Polsce. Znalazł on szereg uczniów i następców, którzy dają studja nader cenne i potrzebne. Wszystkie one jednakże, mimo zalet, nie spełniają całości zadania; przeważnie ograniczają się do dawnych wieków i zamykają się w samej bizantynistyce, bez uwzględnienia wpływów owej literatury i kultury na inne obszary, zwłaszcza na obszar słowiański i polski. Nic też dziwnego, że leżące odłogiem pole porosło chwastami, które może przez długie lata trzeba będzie jeszcze plewić, zwłaszcza, że tego kąkolu nasiali ludzie cieszący się skądinąd, dla zasług w innych zgoła dziedzinach, większym lub mniejszym autorytetem, ale niefachowcy w dziedzinie spraw bizantyńskich. Tylko tą niefachowością (dotyczącą nawet samego... języka greckiego!), tłumaczy się np. takie zuchwałe i zgoła mylne „sądy“: „Nawet Grecji Ruś nie uszanowała[!!] i pozbyła się[!!] jej *h* nagłosowego [które nigdy nie istniało w greczyźnie, był tylko *spiritus asper*, zanikły w wymowie na wiele wieków przed chrztem Rusi!! J.B.], uważając to za znak [?] zbędny, jak i inne [jakie?] nagłosowe“ it.d. it.d. Nawet wyrazy *afendi* (ἀφέντης lub αὐθέντης) i *fengari* (φεγγάριον) uważano u nas za... tureckie. Po takiem „tureckiem“ kazaniu nic dziwnego, że i czerpane z przestarzałych podręczników sądy o literaturze bizantyńskiej, jednej z najżywotniejszych i najbardziej zapładniających literatur średniowiecza, trąciły u nas myszką i płytką, a fałszywą banalnością. Skutki tego na różnych polach nie dały na siebie długo czekać i podziśdzień dają się odczuć boleśnie np. w dziedzinie wersyfika-

cji (której dzieje należałoby napisać na nowo) it.d. it.d.

Jeżeli nasza bibljografja bizantyno-słowiańska wypadła tak ubogo, to w działach artykułów i sprawozdań nie spotykamy ani jednej pracy polskiej. Ta „porządna niedbałość nasza" razi ogromnie w porównaniu z solidną pracowitością uczonych czeskich, rosyjskich, słowackich i bułgarskich, a szkoda, że tak jest, bo chodzi tu o sprawy nieobojętne chyba nietylko specjalistom, ale nawet szerszemu ogółowi. Tyczy się to zwłaszcza owej sprawy, która była u nas kiedyś przedmiotem zażartego, pamiętnego sporu: sprawy św. Cyryla i Metodego. Sprawa ta weszła obecnie w nową fazę na podstawie badań znacznie głębszych, niż te, na jakich opierano się dwadzieścia kilka lat temu. Ta podstawa, jedyna słuszna, gdy chodzi o sprawę wiążącą się z Bizancjum, to dobra znajomość bizantynistyki, czego (jak wspomniałem) nieraz niestety brakło dawniejszym badaczom. Słusznie więc pisze redaktor „Byzantinoslavica", prof. M. Weingart, o głównych źródłach cyryllo-metodejskich: „Dosud však nebyly rozebrány a oceněny se stanoviska byzantologického". Stanowisko to zajął dopiero niedawno prof. F. Dvornik, najświetniejszy znawca danej kwestji, w dziełach „Les Slaves, Byzance et Rome au IX siècle" (Paryż 1926), „Les légendes du Constantin et de Méthode vues de Byzance" (Byzantinoslavica, supplementa, tome I, Praga 1933), rzeczy te należałoby omówić osobno i szerzej, wraz z wydaną już — jako jaskółka t. VI „Byzantinoslavica" — rewelacyjną pracą samego prof. Weingarta o pierwszej legendzie świętowacławskiej. Do zagadnień cyryllo - metodejskich odnoszą się jeszcze inne prace omówione na kartach „Byz. sl.", a więc: Dvornika „Byzancia a Vel'ka Morava" i inne rzeczy zebrane przez J. Stanislava w książce „Říša vel'komoravská" (Praha 1933, nakł. L. Mazač)), — gdzie dla Polaka nieobojętne będą ponadto Weingarta „Pribina, Kocel a Nitra", Oty Ritza „Svaty Emmeram" (czczony w Czechach jeszcze w X w., potem i w Polsce, gdzie przezwano go *Imbram*), nadewszystwo zaś F. Hrušovskiego „Vel'ká Morava a Pol'sko", — potem zaś bystra recenzja książki dr. J. Stanislava „Životy slovanských apoštolov Cyrila a Metoda. Panonsko-moravské legendy" (Praha—Bratislava 1933), napisana przez doc. J. Kurza.

W długim przeglądzie prof. Weingart omówił stan dzisiejszych badań nad językiem i zabytkami starocerkiewnemi (Paschena, Dielsa, Tragera, Vajsa, v. Wijka. Prac językowych jest w roczniku „Byz.-sl." kilka; na pierwszy plan wysuwa się obszerna (112 stron) rozprawa J. Stanislava „Datív absolutný v starej cirkevnej slovančine", która poddała gruntownej krytyce wszystkie dotychczasowe sądy co do owej osobliwości składniowej, dochodząc do wniosku, że nie jest ona naleciałością, lecz tworem rodzimym. Studjum Oty Ritz o rzekomo głagolickich inskrypcjach stupawskich, napisane subtelnie i cięto, jest doskonałe w metodzie, nie pomijającej żadnego szczegółu zagadnienia.

Archeologiczne i historyczne zasługi K. Szkorpila (w 50-lecie pracy naukowej) przedstawia I. Stojanow. Sam zaś jubilat dał ważne materjały dotyczące początku Bułgarów („dzisiejsi Bułgarowie są mieszaniną elementów trackich i słowiańskich i nie mają nic wspólnego z Pra-bułgarami"). J. Myslivec daje znów ciekawe i bogato udokumentowane studja z zakresu sztuki; rzecz „Svatý Jiří ve východokřestanském uměni" zasługuje na uwagę i w Polsce ze względu na częstą i tutaj ikonografję tego świętego (ostatnio w ilustracjach L. Pawlikowskiej do „Szaleńców Bożych" Szczuckiej). Z innych względów interesować badaczy polskiej kultury może rozprawa M. A. Andrejewej: К исторіи византійско-славянских гадательных книг.

Bogaty to tom i rozległa skala jego zagadnień. Zasługują przeto „Byzantinoslavica" na wielkie zainteresowanie polskich historyków, językoznawców, badaczy kultury i literatury. Ale zainteresowanie to powinno być nietylko bierne odbiorcze; powinni nasi uczeni współpracować w tem piśmie. Ileż ważnych spraw polskiej historji i kultury powinno tu znaleźć omówienie i oświetlenie.

Warszawa. *Józef Birkenmajer.*

„NOWA KSIĄŻKA"

NOWA KSIĄŻKA. 10 zeszytów rocznie poświęconych krytyce literackiej i naukowej oraz bibljografji pod redakcją dra Stanisława Lama. Wydawnictwo Księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego. Warszawa. Rok 1: 1934. Zeszyt 1—10. Rok 2: 1935. Zeszyt 1—5.

Od dłuższego czasu odczuwano u nas dotkliwie brak wydawnictwa perjodycznego, któreby systematycznie i fachowo informowało społeczeństwo o najnowszym naszym dorobku piśmienniczym, dając jego rejestrację i krytyczną ocenę. Jakże często, z sentymentem i westchnieniem, wspominano dawną, przedwojenną „Książkę", która w tak wysokim stopniu przyczyniła się

do ożywienia naszej krytyki naukowej, udostępniała publiczności ruch wydawniczy, była przewodnikiem, doradcą, nauczycielem. Zdawało się, że po udatnej, lecz krótkotrwałej próbie jej wznowienia w roku 1922, idea ta została pogrzebana beznadziejnie. Ale przecież znaleźli się ludzie, którzy podjęli myśl jakoby zarzuconą, wystąpili z inicjatywą i doprowadzili do skutku cenne i dożyteczne wydawnictwo. Oto r. 1934 ukazuje się w Warszawie pod redakcją dra Stanisława Lama, a nakładem Księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego, „Nowa Książka", godna następczyni i kontynuatorka swej poprzedniczki przedwojennej. Redagowana jest świetnie, a wychodzi stale i regularnie (co w naszych trudnych warunkach wydawniczych i czytelniczych zasługuje na szczególne podkreślenie).

Każdy zeszyt składa się z trzech głównych działów: z części sprawozdawczej (poprzedzonej zazwyczaj artykułem wybitnego pióra, poruszającym jakieś aktualne zagadnienie naukowe lub kulturalne) z Kroniki i Bibljografji. Zarówno część krytyczna, jak i bibljograficzna zajmuje się dorobkiem piśmienniczym wszystkich gałęzi wiedzy. Recenzje, pisane przez specjalistów, krótkie, zwięzłe, zwarte, dają charakterystykę dzieł, oraz krytyczną ocenę ich wyników i metody, przynoszą uzupełnienia badań, prostują omyłki, wytykają błędy.— Kronika, niezmiernie interesująco i żywo redagowana, podaje mnóstwo ciekawych wiadomości. — Dział bibljograficzny jest rozumowaną, przejrzystą w swym systematycznym układzie, bibljografją nowości wydawniczych, będących w handlu księgarskim. Nie rejestruje wszystkich książek, lecz daje ich wybór z różnych dziedzin wiedzy. Wobec zawieszenia „Przewodnika Bibljograficznego", jest to jedyne tego rodzaju informatorjum bibljograficzne; albowiem „Urzędowy Wykaz Druków", wydawany przez Bibljotekę Narodową, dający rejestrację całej produkcji drukarskiej, inne ma założenia i innym służy celom (bibljografji czystej, dokumentacji i katalografji). Bibljografja „Nowej Książki" jest podręczną bibljografją informacyjną, pożądaną w bibljotece, w księgarni i w rękach każdego, interesującego się ruchem wydawniczym.

„Nowa Książka", pod umiejętnem i wytrawnem i energicznem kierownictwem dra St. Lama jest ważną pozycją w naszym dorobku kulturalnym lat ostatnich, jako publikacja nietylko pożyteczna, ale wręcz niezbędna. Dzięki niej ożywił się ruch na polu krytyki naukowej; powstało źródło fachowej, szybkiej, sprawnie zorganizowanej informacji krytycznej i bibljograficznej; ożywił się wybitnie związek między czytelnikiem a książką, — a węzły te, z każdym nowym zeszytem, zacieśniają się i stają się coraz silniejsze.

Wydawcom i redaktorowi należą się słowa pełnego uznania za inicjatywę szczęśliwą za wykonanie trafne a umiejętne. „Nowej Książce" towarzyszą najlepsze życzenia, by się mocno ugruntowała i rozwijała jaknajlepiej, zyskując coraz szersze kręgi czytelników.

Poznań. *Stefan Wierczyński.*

WIERSZE CIESIELCZUKA

CIESIELCZUK STANISŁAW. Pentaptyk lapidarny. Warszawa 1935. Fr. Hoesick.

„Pentaptyk lapidarny" Ciesielczuka to pięcio-pieśń, w której poeta dał skondensowaną do krańcowości opowieść o „nieobliczalnej bytu przygodzie", o człowieku, Naturze i Tajemnicy. Tej lapidarności treści towarzyszy kształt zewnętrzny: norwidowska ekonomja słowa, zwartość obrazów, które chcą być równoważnikami idej, oraz wysokogórski „klimat" tych wierszy, których twórczy trud pragnie między słowem a pojęciem postawić znak równości.

Z pięciu wierszy zbioru taką atmosferę skroplonego powietrza mają przedewszystkiem „Dwa ekstremy", „Człowiek w skale nad morzem wykuty" i „Natura". Pierwszy z nich o niezwykle sugestywnej i świadczącej o dobrem w s ł u c h a n i u się w Norwida rytmice, najdoskonalszy formalnie, rozwija antytezę: „myśl i żywioł" w szeregu błyskawicznych eksplozyj zdań zwartych, krótkich i ścierających się ze sobą ostrzami przeciwieństw, drugi („Człowiek w skale") to przezwyciężenie prometeizmu na płaszczyźnie nadczłowieczeństwa, („Przerósł możliwość rozpaczy"), trzeci zaś („Natura") kreśli heraklitowski obraz potwora, który wciąż rodzi i wciąż chłonie tłum istnień. (Nawiasem: dobry ten wiersz szpeci dziennikarska ironja, banał niepoetycki: „twór pewien człowiekiem się zwący"). Dwa pozostałe wiersze nie posiadają tej ziarnistej a zwartej konsystencji wymienionych poprzednio utworów.

W sumie: pentaptyk Ciesielczuka, mimo rzadkiej nawet na stosunki dzisiejsze szczupłości rozmiarów, to nie poetycka plakietka, której celem bylejak ułożony wybór wierszy z ostatniego roku, uwarunkowany trudnościami wydawniczemi, ale ambitne a uzasadnione rezultatem pragnienie przedstawienia faktycznych osiągnięć i dojść przed przesunięciem słupów granicznych na dalsze stanowiska.

Zamość. *Adam Szczerbowski.*

O RYMACH I RYTMACH BOGURODZICY

Dr. Feliks Pohorecki poświęcił parę uwag mojej książce „Zagadnienie autorstwa Bogurodzicy" (Kurjer Poznański nr. 487 z 28. X. 1935), wyrażając się w zakończeniu, że książka ta „niewątpliwie wywoła żywą dyskusję" na temat genezy prapieśni polskiej. Wychodząc z założenia, że do dyskusji powinien być dopuszczony przedewszystkiem ten, kto jest w niej najbardziej zainteresowany, a mianowicie autor książki, zabieram głos w sprawie uwag wysuniętych w owym artykule.

1. Dr. Pohorecki, zgadzając się całkowicie ze mną, że treść słowna „Bogurodzicy" została przejęta z liturgji i hymnografji greckiej z przed w. X, jednocześnie poszukuje wzorów rytmicznych naszej pieśni w poezji łacińskiej... i to koniecznie późniejszej. Czy w takiem ujęciu kwestji niema sprzeczności? Uważam, że skoro się widzi wzór tekstu w greckiej hymnografji, tedy najprościej będzie w tejże hymnografji greckiej szukać i wzorów rytmu. Zwłaszcza, że znaleźć je tam nietrudno — i to poddostatkiem, choćby w pieśniach genjalnego Romanosa. Przytoczyłem w książce jeden schemat jego rytmiki, zupełnie odpowiadający schematowi dwóch zwrotek „Bogurodzicy". Więcej przykładów podaje Bouvy w ważnem swem dziele o melodach (kompozytorach) i poetach greckich, na jakie powołałem się kilkakrotnie.

2. Czy w „Bogurodzicy" mamy heksametry? Nie twiedził tego nawet Łoś, który tylko zwrócił uwagę na pewne podobieństwo jednego wiersza „Bogurodzicy" do t. zw. „heksametru tonicznego", t. j. takiego heksametru, który opiera się na przyciskach wyrazowych („akcentach"), a nie uznaje iloczasu Tymczasem dr. Pohorecki cytuje same heksametry metryczne (iloczasowe). Gdybyśmy nawet przypuścili, że w „Bogurodzicy" są istotnie heksametry toniczne — to wcale nie należy mniemać, że byłyby one wynalazkiem poetów łacińskich. Najgorliwszym propagatorem heksametrów tonicznych był właśnie poeta grecki z piątego wieku, Nonnos...

Ale w „Bogurodzicy", mimo wszelkich pozorów, nie spotykamy wcale heksametrów. Nie jest właściwie heksametrem — ani tonicznym, ani tem mniej metrycznym — nawet wiersz pierwszy. Przedewszystkiem nie mamy najmniejszego dowodu na to, by w dawnej polszczyźnie (może i do czasów Parkosza z Żorawicy), akcent był taki, jaki jest obecnie, a więc np. czy w wyrazach: Bogurodzica, Dziewica, Syna, ludzie w. XIII, a choćby XIV, akcentowali zgłoskę przedostatnią. Powtóre, nawet gdybyśmy postawili taką hipotezę, to spotkamy drugą trudność: niezwykłą dla heksametru średniówkę.... po stopie trzeciej (!), która to stopa, na domiar złego, jest ...trochejem! Taką rytmikę (daktyl, daktyl, trochej — średniówka – daktyl, daktyl, trochej) spotykamy istotnie i to nawet dość często, a mianowicie w homiletyce i hymnografji greckiej (Romanos, Jan Damasceński), ale nie nosi ona nazwy heksametru: zwą ją poprostu anakreontykiem tonicznym (Bouvy). Taką formę rytmiczną będzie miał pierwszy wiersz „Bogurodzicy", jeżeli go przytoczymy dosłownie — po grecku:

Theotóke Parthéne, eulogeméne Maria!	Bogurodzico Dziewico, bogosławiona Maryja!

Że rytmika ta będzie podobna do tego wiersza, który Mickiewiczowi podobało się uznać za heksametr (przyczem autor „Wallenroda” wyraźnie wspomniał o... odstępstwach od powszechnego wzoru heksametrycznego, a m. in. także i o owym nieszczęsnym trochejul), z tego nie można wysnuwać wniosków przedwczesnych, nie można na tej podstawie budować żadnych przypuszczeń co do wieku i autorstwa „Bogurodzicy”.

3. Co się tyczy rymów dwuzgłoskowych, w poezji łacińskiej były one używane dobrze przed wiekiem XII, zwłaszcza na obszarze hymnografji irlandzkiej. Sporo przykładów owych dwuzgłoskowców, ba, nawet rymów trzyzgłoskowych (pieśń mnicha Cuchuimne z w. VIII) przytoczyłem w wydanej właśnie rozprawie „Bogurodzica wobec hymnografji łacińskiej”. Tam więc odsyłam ciekawych, nie chcąc zbyt wydłużać niniejszego artykułu. Tu tylko zaznaczę, że rymy dwuzgłoskowe były częstem zjawiskiem w tej poezji, która jest bliższa naszej „Bogurodzicy”, a mianowicie w hymnografji greckiej — i to już od w. VI i VII. Dość wspomnieć Romanosa (rymy takie, jak: méllei — anatéllei), albo słynny „hymnos akathistos” tak doniosłą mający ważność zarówno w hymnografji, jak w liturgji, którym rymuje się: aster-gaster i t. d. Znał rymy dwuzgłoskowe i nasz św. Wojciech, skoro jego przyjaciel, poeta Leon z Vercelli zwracał się do niego takiemi wierszami:

Homo tibi contrarius, cito invenies quod quaeris!
Dono Virginis procul dubio martyr eris!

Cytuję tu dosłownie życiorys św. Wojciecha, napisany przez Brunona z Kwerfurtu, który (jak i autor Vita I) podobnemi rymami sypie pozatem dość często, a uczył się tego ponoć w tejże szkole, do której uczęszczał nieco wcześniej św. Wojciech. Co się tyczy leoninów, czyli heksametrów wewnętrznie rymowanych, to są one bardzo starej daty. Nie mam zamiaru opowiadać na tem miejscu ich dziejów, wystarczy że przytoczę słowa prof. K. Morawskiego o poecie łacińskim Seduljuszu z w. V: „W Carmen paschale mamy w heksametrach dużo wierszy t. zw. leonińskich, w których środek wiersza rymuje z jego końcem...” (Zarys literatury rzymskiej, str. 398). Pospolite były leoniny w pięć wieków później, czyli w wieku X, i to — rzecz ciekawa — właśnie w kołach poetyckich, bliskich św. Wojciechowi. Dla przykładu wspomnę (za Manitiusem) mnicha Purcharda, który w r. 996 napisał wierszem leonińskim poemat „Gesta Wittigowonis”, gdzie opowiedział widzianą naocznie przez św. Wojciecha koronację Ottona III.

4. Ale czy w „Bogurodzicy” są naprawdę rymy dwuzgłoskowe? Podał to w wątpliwość już Łoś, który swoją przelotną hipotezę o „heksametrze” uzależnił przecie od jednego warunku, że w drugim wierszu zmienimy „Gospodzina” na „Gospodna”; ale w tym wypadku, jak dalej sam Łoś zaznacza, nie mamy już rymu, tylko „asonans”. Powiem coś więcej: nie będziemy tu mieli nawet asonansu, bo asonans wymaga zgody samogłosek, a tego nie widzimy w „Gospodna” (samogłoski o, a) i „Syna” (samogłoski y, a). To samo tyczy się „Bożycze” (y, e) i „człowiecze” (e, e). Nie są to ani rymy, ani asonanse, ale t. zw. homoioteleuta (czyli, jak pisze autor dzieła „De arte metrica”, bł. Beda w VIII wieku, „homotelenta”). Także ani rymami, ani asonansami nie są: „głosy” — „myśli”; nawet homoioteleutyczność tych wyrazów jest bardzo słaba i trąci prymitywnością wczesnego średniowiecza.

5. Czy „ośmiozgłoskowiec", następujący po „myśli człowiecze", musi być uważany za późniejszy dodatek? Nietylko nie musi, ale nawet nie wolno go uważać za taki dodatek. Pominąwszy, że mam wątpliwości, czy to istotnie „ośmiozgłoskowiec", zaznaczę, że hipotezie prof. Brücknera, jakoby te wiersze były „później" dodane do drugiej zwrotki „Bogurodzicy", przeczy wiele faktów, z których dwa najważniejsze tu wspomnę: a) wiersze te spotykamy we wszystkich bez wyjątku, nawet najstarszych tekstach pieśni, b) są one nieodzowne w tem właśnie miejscu, nietylko ze względu na sens (bo w dwóch pierwszych wierszach drugiej zwrotki nie wiemy jeszcze, jakie „głosy" ludzkie ma usłyszeć Chrystus — tłumaczą to dopiero wiersze następne, o „zbożnym pobycie" i „rajskim przebycie"), ale, co najważniejsze, ze względu na tradycję liturgiczną, która stale wymaga po „akuson" (łać. „audi", pol. „usłysz") drugiego wezwania: epakuson („exaudi", „słysz", „wysłuchaj").

Wogóle sądzę, że w badaniach nad powstaniem pieśni liturgicznej należy za główny punkt wyjścia obierać — liturgję, wobec której wszystkie inne sprawy będą drugorzędne. I właśnie na tem polu przedewszystkiem pożądana byłaby dyskusja. Tylko, jak na polu języka i wersyfikacji, tak i tutaj musimy strzec się przed jednem niebezpieczeństwem: uleganiu sugestjom analogji do zjawisk dzisiejszych. Jak język i wersyfikacja, tak i liturgja chrześcijańska miała długą i pełną zmian historję.

Warszawa. *Józef Birkenmajer.*

O TEKST »PANA TADEUSZA«

W ostatnim Roczniku Literackim (III, 1935) prof. Stanisław Pigoń omawia m. in. również wydanie „Pana Tadeusza" przez księgarnię J. Przeworskiego w Warszawie z moją przedmową. Wydaniu temu stawia różne zarzuty, nie znalazłszy w niem ani jednej zalety (nawet taniości!). Cytuję najważniejszy ustęp:

> Tekst miał być bez skazy, jak na okładce zaznaczono: „na podstawie I wydania"; nie można jednak powiedzieć, żeby pietyzm wobec niego dociągnięto do miary należytej. Opiekun wydania [?] nie trzymał się niewolniczo pierwodruku, unowocześnił i normalizował jego pisownię. Bez dostatecznej jednak konsekwencji (raz znosi np. podwójne litery, a raz je zostawia: drukuje Assesor, choć w I wyd. jest Assessor i t. p.). Nie uchroniono się też, niestety, od usterek druku takich, jak: „stanowcznych" (186), „wniesionemi", zam. „wzniesionemi", na str. 169, w 7 opuszczono „goły" z ujmą dla sensu i rytmu i t. p. W wielu miejscach tekst zniekształcony przez złe odbicie (powypadały całe słowa!), obłamanie czcionek, nadmiar czernidła. Krótko mówiąc, temu homagjum przydałoby się o wiele więcej pietyzmu w wykonaniu. (Str. 115—116).

Jakkolwiek udział mój w tem wydaniu ogranicza się do napisania przedmowy (z jej oceną przez prof. Pigonia nie będę polemizował), to jednak czuję się do pewnego stopnia odpowiedzialnym i za tekst (choć nie za wyposażenie zewnętrzne, papier, druk i czernidło!); uważam więc za swój obowiązek wziąć go trochę w obronę i stwierdzić, że należy on do najstaranniejszych wśród wydań popularnych, i nietylko popularnych, ostatnich czasów. Trzeba tylko rzecz traktować spokojnie, rzeczowo, historycznie i porównawczo, t. j. z uwzględnieniem tego, jak wyglądały

dotychczas wydania poetów polskich, i to nawet naukowe — pozatem zaś nie przenosić irytacji z powodu przedmowy na tekst przedruku, który temu nic nie jest winien.

Błędy w przedrukach tekstów można podzielić na rozmaite kategorje i stosownie do tego ustanowić ich „hierarchję". Do najpospolitszych i prawie że nieuniknionych należą błędy drukarskie („zecerskie"), polegające na przekręceniu, dodaniu lub opuszczeniu jakiejś litery, ale w ten sposób, że słowo nie zostaje zniekształcone do niepoznania; tu zaliczyć można właśnie wytknięte przez prof. Pigonia: „stanowcznych" i „wniesionemi" („ku szlachcie ramiony"). Są to niewątpliwie usterki nieprzyjemne, ale najmniej szkodliwe i — powtarzam — trudne do uniknięcia, nawet w najlepszych edycjach. Wydanie Przeworskiego znajduje się pod tym względem w dobrem towarzystwie, bo nawet wydania sejmowego, któremu prof. Brückner w tymże „Roczniku" wytknął błąd grubszy od poprzednich: „Żeś je (serce) zdobył łacno, zbyt prędkość niem wzgardził" (zamiast: prędkoś!). Tu bowiem znacznie trudniej się domyślić, o co chodzi. Można przypuszczać, że podobnych błędów znalazłoby się tam więcej, a przecież nikt odpowiedzialny nie odmówi temu wydaniu miana znakomitego. Podobnie w wydaniu III części „Dziadów" Wacława Borowego (dość powiedzieć!) czytamy (na str. 62): „Stamtąd przyszły siły moje, Skąd do Ciebie przyszłe Twoje" — albo (na str. 209): „Porznął błoniste (zam. błotniste) kanałami pole". A przecież chyba i prof. Pigoń nie odmówi Borowemu „pietyzmu" a jego wydaniu świetnych zalet. Czyż mam jeszcze cytować błędy Miriama, Czubka, Kleinera? Wyciąganie więc z tego rodzaju usterek zbyt daleko idących wniosków co do wartości całego przedruku, trzeba uznać za nieuzasadnione, żeby nie użyć silniejszego wyrazu — tembardziej, że prof. Pigoń przy z pewnością bardzo skrupulatnych i zapalczywych poszukiwaniach zdołał znaleźć tylko dwa takie błędy druku.

Gorzej jest naturalnie z opuszczaniem lub wypadaniem całych wyrazów. Ale i tu dużo zależy od tego jaki wyraz opuszczono i co z tego wynikło dla sensu zdania. W wydaniu, o którem mowa, tak się zdarzyło szczęśliwie, że jedyny znaleziony przez recenzenta wypadek opuszczenia nie jest bynajmniej — jak twierdzi — „z ujmą dla sensu". Zdanie brzmi bowiem: „Sam nad Woźnego głową trzymał rapier" zamiast: „goły rapier".

Analogiczna jest sytuacja, gdy słowo jakieś „wypadnie" przy odbijaniu na maszynie. Ale to już jest nieszczęście, „pech", nieuwaga robotników czy vis maior, nie wina tego kto przygotowywał tekst! Pozatem dla ścisłości trzeba dodać, że bynajmniej nie jest tak, jak twierdzi recenzent jakoby „powypadały całe słowa", gdyż takie nieszczęście zdarzyło się — o ile sprawdzić zdołałem raz jeden, a w dwóch innych wypadkach „obłamała się" tylko połowa słów. I tu zresztą sensu domyślić się można. „Nadmiar czernidła" również nie przedstawia się tak tragicznie; ze słów recenzenta („tekst zniekształcony") możnaby sądzić, że całe wiersze lub nawet stronice są pozamazywane na czarno. Tymczasem w rzeczywistości tylko niektóre litery są trochę pozalewane.

W hierarchji błędów dochodzimy obecnie do najgrubszych, kompromitujących, psujących tekst, czy to przez zupełne przekręcenie słów, ale takie, że wychodzi sens inny (to jest najgorsze!), czy to przez „poprawianie" języka poety, a więc świadomą już ingerencję wydawcy (to jest już karygodne!). Wiemy, że zdarzały się takie rzeczy często dawniej —

niestety, zdarzają się czasami i obecnie. Na chwałę więc wydania, tak mocno obrobionego przez prof. Pigonia, powiedzieć trzeba, że takich błędów w niem zupełnie niema. Można to twierdzić prawie z absolutną pewnością, bo gdyby były, recenzent o tak wprawnem oku odnalazłby je niewątpliwie. Już ten sam fakt stawia tekst tego wydania w rzędzie bardzo sumiennie i solidnie opracowanych. Sądzę, że godziło się to w recenzji podnieść, zwłaszcza, że autor artykułu: „Jakiego Mickiewicza znamy" dobrze wie, jakie to historje pod tym względem wyrabiało się dawniej nawet w wydaniach naukowych. Do zebranego przezeń materjału dodam tu jeszcze jeden przyczynek, nie w celu obniżenia wartości jego własnych wydań, lecz w celu uświadomienia, że wszyscy jesteśmy ułomni i każdemu może się zdarzyć „gaffa" — z czego nauka moralna, że należy być ostrożniejszym w ferowaniu wyroków w tych sprawach, gdzie nikt nigdy nie może być pewny, czy go w jakiejś chwili zmniejszonej uwagi nie zawiedzie oko.

Oto w I tomie „Poezyj" Mickiewicza, przygotowanych przez prof. Pigonia, a wydanych we Lwowie w r. 1929 przez księgarnię Gubrynowicza i syna, znajdujemy na str. 476 utwór p. t. „Słowa Najświętszej Panny", a w nim taki werset: „Żyłam Izraelem i w Izraelu cała, jako oblubienica i w oblubieńcu". Sens jest wyraźny i nie możnaby się domyślić, że poeta inaczej zdanie skonstruował, gdyby nie podobizna autografu, którą wydawca, na pognębienie swoje, dołączył do książki. W autografie zaś zdanie brzmi tak: „Żyłam Izraelem i w Izraelu cała, jako oblubieńcem i w oblubieńcu". Zupełnie inna składnia, tok i rytm zdania — a więc i inny sens: Żyłam Izraelem jako oblubieńcem i w Izraelu jako w oblubieńcu. „Pietyzm" nakazywałby nie lekceważyć tej różnicy, tembardziej, że ku końcowi utworu znajdujemy odpowiednik tego zdania: „Odtąd żyłam w Synie moim i Synem moim".

Gdybym miał ochotę i czas na dalsze „poszukiwania" w tym kierunku, znalazłbym przypuszczalnie więcej podobnych lapsusów. Szczególnie nadawałby się do tego tekst „Zdań i uwag". Ale jest to bezcelowe, bo nawet, gdyby mi się udał taki „połów", nie odważyłbym się na tej podstawie odsądzić całego wydania od czci i wiary.

A teraz kwestja samodzielnych poprawek. Zapowiedź na okładce „inkryminowanej" edycji: „Tekst na podstawie I wydania" nie oznacza bynajmniej — jak sądzi recenzent — jakoby „tekst miał być bez skazy" (któż z doświadczonych edytorów byłby tak zarozumiały, żeby zgóry o tem zapewniać!) lecz poprostu wzięcie I wydania za podstawę i staranie się o możliwie dokładne odtworzenie go. Prof. Pigoń pisze: „Opiekun wydania nie trzymał się niewolniczo pierwodruku, unowocześnił i normalizował jego pisownię". To chyba nie jest zarzut, bo inaczej trzebaby drukować: rościął, męszczyzn, okólary, s chleba i t. p. Zarzut dotyczy dopiero „niedostatecznej konsekwencji". Mój Boże, jakże to łatwo rzucić takie słowa, nie zastanowiwszy się, że wobec niesłychanego chaosu ortograficznego w pierwodruku utrzymanie idealnej konsekwencji jest niemożliwe, bo bardzo często niewiadomo, czy dana pisownia jest skutkiem wymowy poety, pomyłki czy nieumiejętności zecera. („Pana Tadeusza" składali Francuzi!) Wszakże te same słowa i w tych samych pozycjach pisane są raz tak, raz inaczej. To też żadnemu z wydawców poematu nie udało się dotychczas wybrnąć z tej afery z „żelazną konsekwencją". Nie odznacza się nią ani wydanie

sejmowe (jak na to również zwrócił uwagę prof. Brückner), ani wydanie prof. Pigonia, o czem jeszcze niżej. Teraz chcę tylko zwrócić uwagę, że recenzent znowu tylko jeden przykład niekonsekwencji podał i znowu pomylił się, twierdząc niesłusznie, że w I wydaniu jest „Assessor", podczas gdy w rzeczywistości istnieją tam dwie formy: A s s e s o r i A s s e s s o r; trzeba więc było dla ujednostajnienia jedną z nich wybrać.

Ogółem stwierdzić można z wszelką pewnością, że jeżeli chodzi o m o ż l i w i e w i e r n e trzymanie się pierwodruku, to wydanie „Pana Tadeusza", o którem mowa, nie powstydzi się konkurencji z najlepszemi edycjami, a nawet czasami stoi od nich wyżej. Cóż bowiem robi np. prof. Pigoń w swojem wydaniu lwowskiem? Pomimo patetycznej zapowiedzi w S ł o w i e w s t ę p n e m, że będzie się starał usilnie oto, by „oddane zostały najwierniej... dźwięk i kolor języka", poczyna sobie dość bezceremonjalnie z owym „dźwiękiem i kolorem", skoro nie uwzględnia é kreskowanego (nawet w rymach!) i takich form charakterystycznych, jak: ubior, korónki, kobiéta, swywola, spójrzała, noty (nuty), strona (struna), wpełźnie, przyśpilał, źwierzyna, bruśnice, przedsiebrać, miłośna, uwięczyć i t. p., i t. p. Pozatem znajdujemy takie „poprawki", jak: ledwie zamiast l e d w o (str. 188), „z kobietą kilku laty starszą" zamiast: k i l k a laty... Dzięki „znormalizowaniu" takich wyrażeń i „ufryzowaniu" (żeby użyć wyrażenia Borowego) języka poematu na ogólnopolski z Mickiewicza robi się niemal jakiś „warszawista" — znika „Litwin" ze swojemi odrębnościami leksykalnemi i fonetycznemi. W jakim celu to jest robione? Czy dlatego, że jest to wydanie popularne i żeby szersza publiczność nie nabrała przekonania, iż poeta „źle" mówił po polsku? Takiej publiczności można wszakże rzecz całą wytłumaczyć w przedmowie.

Z konsekwencją prof. Pigonia jest również znacznie gorzej, niż w wydaniu krytykowanem. W podanych przykładach tępi „regjonalizmy" i starsze formy, ale zostawia: ociec (str. 65), Ewanielii (106), przezroczu (81), probą (183). Niektóre z tych wyrażeń zostawione są ze względu na rym, ale bardzo często zdarza się, że podobne słowa w tej samej pozycji są „poprawione" (choćby wszystkie z e pochylonemi; na jednej str. 115 znajdujemy taką parę rymów: drożki-pończoszki i łowić-odmówić). Nie tak to łatwo — jak widać — zachować „dostateczną konsekwencję".

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną „poprawkę" prof. Pigonia w dziedzinie rytmu, gdyż ma ona ogólniejsze znaczenie. W ks. III, w scenie pomiędzy Hrabią a Zosią, znajduje się taki dwuwiersz:

> Nie wiedząc, że napastnik już z przeciwnej strony
> Zbliżył się, czołgając jak wąż, przez zagony;

Tak jest w pierwodruku. Wydawca policzył zgłoski i odkrył, że w drugim wierszu jest ich tylko 12, zamiast przepisowych 13; sądząc zapewne, że rytm mierzy się tylko równą ilością zgłosek, wydrukował: „czołgając s i ę" i obwieścił[1], że wydania z r. 1834 i 1844 opuszczały to „się" „ze szkodą dla rytmu". Tymczasem jest rzeczą jasną, że rytm jest zepsuty w ł a ś n i e p r z e z ó w d o d a t e k, o czem się można łatwo przekonać, przeczytawszy dwuwiersz w takiej „poprawionej" redakcji:

[1] W komentarzu w „Bibljotece Narodowej", str. 130.

Nie wiedząc, że napastnik już z przeciwnej strony
Zbliżył się, czołgając się, jak wąż przez zagony;

Oba wiersze liczą po 13 zgłosek, a mimo to rytm się chwieje. Przyczyną tego są akcent i cezura; drugi wiersz byłby rytmicznie w porządku tylko wówczas, gdybyśmy czytali: Zbliżył się, czołgając się... albo ostatecznie (choć to już gorzej brzmi): Zblîżył się, czołgając się... Akcentując jednak normalnie, t. j. w obu wypadkach na drugiej od końca, oddzielamy cezurę od zgłoski akcentowanej dwiema nieakcentowanemi, a nie jedną, jak jest przeważnie w wierszu poematu, mającym cezurę żeńską. Trzeba więc zachwianą równowagę przywrócić przez wyrzucenie „się" — liczenie zgłosek nic tu nie pomoże. Taka „wyrzutnia" jest tembardziej usprawiedliwiona, że drugie „się" jest i semantycznie zbyteczne i dźwiękowo rażące. Cała poezja europejska zna wszakże t. zw. cezurę kalalektyczną, gdzie opuszcza się nie — jak w danym wypadku — zgłoskę niepotrzebną, ale nawet zgłoski integralnie należące do rytmu wiersza.

Prof. Pigoń może się zasłonić (i rzeczywiście zasłania się) argumentem, że tę poprawkę wprowadził na podstawie autografu, gdzie owo drugie „się" figuruje. Ale skoro w wielu innych wypadkach nie trzymał się (i słusznie) „niewolniczo" autografu, mógł i tutaj oprzeć się na pierwodruku, gdzie — być może — pomyłka autografu została poprawiona.

Kwestję powyższą — powtarzam — poruszam ze względów ogólnych, gdyż nietylko wydania prof. Pigonia drukują ten wiersz w formie rytmicznie skażonej. Tak samo jest w wydaniu sejmowem, Kallenbacha — Łosia, K. Górskiego i niestety — także w tej edycji, w której obronie tutaj występuję.

Der langen Rede kurzer Sinn jest taki: prof. Pigoń ma trochę racji tylko w jednym punkcie: odbicie tekstu nie jest nadzwyczajne (dodam jeszcze od siebie, że i papier nieszczególny). Wszystkie inne jednak jego zarzuty są albo nieistotne, albo nieścisłe, albo przesadne, „wyśrubowane", jakby umyślnie chciał jakieś dziury znaleźć, a pominąć dobre strony wydania. To nie jest fair play i dlatego musiałem całą sprawę przedstawić we właściwem świetle. Powaga prof. Pigonia w tych rzeczach jest tak wielka, że powinna go obowiązywać; z pewnością niewielu będzie takich, którzy zechcą się naocznie przekonać, jak to wydanie naprawdę wygląda — większość uwierzy recenzentowi na słowo. I wytworzy się opinja fałszywa i krzywdząca o wydaniu, które ma z pewnością błędy (jak mają je nawet edycje wzorowe), ale nie zasługuje wcale — jak starałem się wykazać — na pogardliwe potraktowanie.

Wilno. *Manfred Kridl.*

EX ALTERA PARTE

JESZCZE SŁOWO O WYDANIU »PANA TADEUSZA« PRZEZ PROF. M. KRIDLA

Jeżeli już polemika i fair play, tedy będziemy przedewszystkiem ściśli. Czytelnik powyższej obrony prof. Kridla gotów nabrać przekonania, że potraktowałem omawiane wydanie „Pana Tadeusza" „pogardliwie", że je odsądziłem „od czci i wiary", że „śrubowałem" zarzuty i t. p., a to wszystko z powodu „irytacji" o przedmowę wydawcy. Jeżeli zaś uwierzy na słowo, że to wydanie należy rzeczywiście „do najstaranniejszych wśród wydań popularnych", co więcej, że pod pewnemi względami „nie powstydzi się konkurencji z najlepszemi edycjami, a nawet czasami stoi od nich wyżej", — to ładnego w rezultacie nabierze pojęcia o rzetelności recenzenta.

Tymczasem jakżeż jest w rzeczywistości? Mając do omówienia w Roczniku „wznowienia" dwudziestu kilku autorów (w tem kilka pozycyj parotomowych) w wyznaczonych ramach jednego arkusza druku, wydaniu prof. Kridla poświęciłem niemal dwie stronice omówienia, zachęcając ponadto redakcję, by je poleciła uwadze innego jeszcze referenta. Czyż to dowodzi pogardliwego traktowania? Że zaś o sposobie podania tekstu poematu w tem wydaniu pisałem bez zbytniego entuzjazmu, to też można wyrozumieć. Pretensje swe kierowałem pod różnemi adresami.

Chodziło mi tam — czego prof. Kridl nie uwydatnił — o rzecz ogólniejszą: nie taiłem żalu do wydawców polskich, że się nie wypłacili pietyzmem poematowi w setną jego rocznicę. Przecież poza „sejmowem" wydanie księgarni Przeworskiego było właściwie jedynem jubileuszowem. Siłą rzeczy spadł na nie ciężar reprezentacji. O homagjum tem napisałem więc, że „przydałoby mu się o wiele więcej pietyzmu w wykonaniu". Pretensja, jak widać, skierowana potrosze do redaktora, zapewne, ale również i do nakładcy. Ale prof. Kridl po rycersku staje na placu i za nakładcę. Jakoż się tu cofać!.. Sprobuję zatem wysunięte pretensje sprezentować szczegółowiej i uzasadnić.

Znowu dla precyzji starcia potrzebna będzie ścisłość. Prof. Kridl jest mniemania, że przygotowując się do recenzji wydania, skontrolowałem („zapalczywie") cały tekst i co podniosłem, to stanowi maximum zastrzeżeń, które się udało wyłowić. Z tego założenia wyciąga nawet pewne wnioski. Niestety, muszę się tu oskarżyć o niedostateczną sumienność. Tak nie było. Naprawdę to sprawdziłem tylko — bez zapalczywości! — księgi dwie (VI i VII) i na tej podstawie wskazałem, sposobem przykładu, dostrzeżone usterki. Obecnie, dla celów dyskusyjnych, rozszerzyłem sobie ten materjał dowodowy trzykrotnie.

Niestety, na tej szerszej podstawie sprawa też nie wygląda lepiej. Więc np. co do technicznego wykonania. Wypadków uszkodzenia tekstu przez obłamanie wierszy prof. Kridl doliczył się trzech. Jest ich więcej. Całe dwa słowa końcowe wypadły: I. 263, po jednem: VII. 303, 359, części słów: I. 216, 227, II. 50, 530, VI. 440, VII. 256, X. 560, XI. 28, 183, 383, a poutrącanej interpunkcji nie zliczyć. O fatalnej drukarni i o niedostatecznym pietyzmie nakładcy wolno było więc chyba mówić. Na dobrą sprawę należałoby zapewne i za usterki w korekcie winić poniekąd nakładcę: Jeżeli

np. na str. 292 zaraz ugóry natrafiamy na pomieszane wiersze, widać odrazu, że musiało być tych korekt (dla oszczędności?) zamało.

Daleki jestem od tego, by z usterek korektowych preparować wielki kamień potępienia. Zbyt dobrze wiem, o ile zgryzot i wstydu przyprawił mię samego złośliwy djablik drukarski. Nie wynika z tego jednak, żeby recenzentowi, rozumiejącemu nawet nieuniknioność ich — takich usterek nie godziło się wyszczególniać. Przytoczyłem ich więc kilka w Roczniku. Prof. Kridl mniema „prawie z absolutną pewnością", że ich tam więcej niema. Niestety są, nieduże, ale są. Mogę służyć dalszym wykazem z sześciu ksiąg: I. 533 drwi (zam. drzwi), II. 109 lśniących (zam. lśnących), X. 659 jam (zam. ja), X. 690 trzął (zam. trząsł), XI. 154 kwietnej (zam. kwietniej), XI. 205 różnobarwny (zam. różnobarwy); w niejednym zresztą wypadku niewiadomo, czy widzieć sprawkę chochlika czy pociągnięcie redaktora.

Nie przykładajmy wszelako do usterek tych wagi większej, niż im się należy. Sąd swój o wydaniu nie na tym budowałem paragrafie. Więcej chodziło o sam typ krytycznego przygotowania tekstu. Przyznam się, że rzeczywiście zwiodła mię trochę wskazówka na karcie tytułowej. „Tekst na podstawie pierwszego wydania". Niezbyt ją rozumiem. Przecież dla każdego jako tako świadomego rzeczy jest sprawą jasną, że przy przedruku „Pana Tadeusza" innej podstawy jak wydanie z r. 1834 brać nie można, że w szczególności wydanie z r. 1844 podstawą taką w żadnym razie być nie może. Pocóż więc to zaznaczać? A zresztą w danym wypadku zapowiedź ta tembardziej niepotrzebna, że jest nieścisła i bałamutna. Jeżeli prof. Kridl włącza do tekstu wiersz VII. 318, którego niema w pierwszem (ani w drugiem) wydaniu, jeżeli drukuje: VIII. 142. Puzynina (wyd. 1 i 2: Sapieżyna), X. 871: I miecz (wyd. 1: I krew), III. 629 wysławiał (wyd. 1: wystawiał) i t. p., to dość tego (a lista wypadków mogłaby być dłuższa), by wiedzieć, że daje on tekst nie na podstawie wydania pierwszego, ale na podstawie dobrej jego filologicznej emendacji.

Przy bliższej uwadze można przecież dojść, co owa wskazówka na karcie tytułowej ma oznaczać. Wydawca mianowicie postawił sobie za zadanie uszanować z wydania pierwszego pisownię, tam zwłaszcza, gdzie ona zdaje się świadczyć o wymowie i o gwarowym kolorycie języka poety. W myśl tego zachowuje pilnie formy takie jak: dóm, korónek, Karól, ślósarski, iżba, ubior i t. p. Możnaby mieć wątpliwość, czy to akurat najpotrzebniejsze w wydaniu obliczonem na szeroką publiczność (zwłaszcza gdy się jej do tego nie przygotowało jakiemś objaśnieniem wstępnem), ale wątpliwości tej dajmy spokój. Można nabrać sentymentu i do takiego właśnie typu przedruku. Natomiast wolno — sądzę — podnieść to, na co wskazałem w recenzji, mówiąc o niedostatecznej konsekwencji.

Bo albo-albo, albo koloryt gwarowy języka poety jest dla wydawcy sacrosanctum, i wtedy utrzymać go należy na całej linji, albo też do pewnych jego objawów nie przykładamy wagi, a wtedy lepiej dać tej skrupulatności całkowicie spokój. Kapryśna połowiczność bałamuci tylko czytelnika i jest bez pożytku.

Prof. Kridl zakwestjonował ów sąd o niedostatecznej konsekwencji omawianego wydania: Wobec tego trzeba go troszkę szerzej uzasadnić. I tak — wydawca, jak wiemy, zachował podwójne litery w słowach takich jak: affekt, attak, process, assesor i t. p. Owszem, może to mieć przy-

jemny nawet smaczek antyku. Ale 1-o godziło się uprzedzić czytelnika, że wydawca daje to podwojenie liter konsekwentnie, a więc także wszędzie tam, gdzie się poeta wahał, dopuszczał oboczność i pisał przez jedną literę (rymował przecież: interessem — biesem, widać, że niekoniecznie może wymawiał tu s podwójne), np. XI. 312 process (w wyd. 1: proces). A 2-o trzeba powiedzieć, że wydawca nie stosuje zasady tej vice versa; daje mianowicie (zgodnie z dzisiejszą normą) litery podwójne tam, gdzie poeta uznawał tylko pojedyncze; drukuje więc: Radziwiłł, Jagiełło, choć w wydaniu pierwszem jest wyłącznie: Radziwił (I. 880, II. 829, XI. 122), Jagieło (XI. 331).

Kubek w kubek jest to samo z *o* pochylonem. Wydawca, jak się rzekło, drukuje za wydaniem pierwszem stale: spójrzał, słówny [1] i t. p. ale znowu odwrócić tej zasady nie chce; drukuje: mówiąc, osóbki, wybór, później, nóżka, podniósł, gróźb i t. d., choć w wydaniu pierwszem jest: mowiąc (I. 503), osobki (I. 552), wybor (I. 674), poźniej (I. 875, II. 40), nożka (II. 441), podniosł (VII. 61), groźb (XI. 438). Czytelnik widzi, że jest tego zbyt dużo, by mówić o „pechu" czy „chochliku". Mamy tu raczej do czynienia z jakąś osobliwą zasadą. Wolno się tą osobliwością nie zachwycać, mimo że ona jedna została przeprowadzona tak konsekwentnie. W pisowni: *o* czy *u* podobnież nie był poeta stały; pisał: nócąc, ślósarski, i wszystko to wydawca zachowuje; ale Mickiewicz pisał i: jaskułka, co już w nowem wydaniu zniknęło. Ujednolicił też wydawca pisownię: półk, półkownik, choć poeta używa obok tego dzisiejszej: pułk, pułkownik (XI. 25, 646).

Jak widzimy, wydawca usuwając wyraźnie oboczności pisowni (odzwierciedlające zapewne chwiejność wymowy), stoi właśnie na stanowisku poprawiacza, „fryzjera" tekstu. A że z form obocznych pisowni wybiera tę, która wygląda na starszą, można powiedzieć, że tekst jego został zlekka ufryzowany à la antique.

Mamy zaś w wydaniu prof. Kridla wypadek poprawiania i „fryzowania" jeszcze bardziej uderzający. Wspomnianą oboczność pisowni zachował Mickiewicz nawet tam, gdzie ona szczególnie musi uderzać: w rymach. Mamy więc w „Panu Tadeuszu" całe mnóstwo takich wypadków, gdzie formy z *o* pochylonem rymują się z formami z *o* prostem: nóżki-pończoszki (I. 97—8), pozdrowił-mówił (I. 230—31), Podkomorzy-Róży (I. 332—3), polubownym-równym (II. 790—91); podobnież: sosnie-żałośnie (II. 133—4), radośnie-wiosnę (XI. 9—10); inne wypadki: I. 774—5, 796—7, VII. 540—1, X. 420—1, XI. 649—50 i t. d. Wszystkie one nie są bez znaczenia dla badacza języka i sztuki wierszopiskiej poety. Prof. Kridl, który we wstępie do wydania tak pięknie pisał o „specjalnych" wartościach dźwiękowych i strukturalnych rymów w „Panu Tadeuszu", — jakżeż tu sobie poczyna? Osobliwie. Znowu ryczałtem poprawia poetę i uwspółdźwięcznia jego rymikę, drukując stale: nożki-pończoszki, odmowił-łowił, Podkomorzy - Roży, rownie-wymownie, radosne-wiosnę i t. d. Oczywiście, znowu zasada, czy jednak przypadkiem nie zachodzi tu wypadek „świadomej ingerencji wydawcy", co przez samego prof. Kridla uznane zostało za karygodne?

---

[1] Nie brak i w tem usterek: II. 76 spojrzeć (w wyd. 1: spójrzeć), II. 324 po wzroście (w wyd. 1: po wzróście) i t. d.

Cóż tedy dziwnego, że recenzent, stwierdziwszy takie zasady i ich praktyczne konsekwencje, nieuprzedzony nadto o nich ni słówkiem przez wydawcę, a zdany tylko na ów podtytuł „na podstawie wydania piewszego”, dezorjentuje się wkońcu, niezbyt sobie zdaje sprawę z charakteru wydania, no i w rezultacie — cóż począć! — niezbyt jest skłonny podzielić zadowolenie wydawcy z edycji śmiało konkurującej z najlepszemi, „a nawet czasami stojącej od nich wyżej”. Co więcej, poważa się — mimo wszystkich widocznych starań o poprawność — widzieć w niej niedostateczną miarę pietyzmu wobec poematu.

Jeszcze słów kilka pro domo sua. Prof. Kridl, broniąc swego wydania przed recenzentem, trzyma się wypróbowanej zasady: „die beste Parade ist der Hieb”. Dla osłabienia wytkniętych usterek cytuje litanję usterek podobnych w wydaniach Miriama, Czubka, Borowego, i (najsuciej) niżej podpisanego. Niezbyt w tym wypadku rozumiem celowość metody. Bo gdyby nawet w przygotowanych przeze mnie tekstach było usterek (jak jest niewątpliwie) w czwórnasób, to dowodziłoby to tylko tego, że te wydania są partackie, ale bynajmniej jeszcze nie tego, że wydanie prof. Kridla jest bez zarzutu.

Z owych wzamian wytkniętych mi usterek może przecie która dałaby się wziąć w obronę. Nie zamierzam kłopotać tem czytelnika. Spróbować wszelako wolno może w jednym przynajmniej wypadku, owym: „ogólniejszego znaczenia”. Uzupełniłem był rzeczywiście rytm wiersza III. 82, wprowadzając zaimek „się” (czołgając się). Zdarzyło mi się to i w paru innych wypadkach. Prof. Kridl wszystkie zaakceptował i przyjął nawet do swego wydania. W tym jednym wypadku poczuł sczasem skrupuły, owszem nabrał pewności błędu. Całą poezję europejską powołuje na świadka. Jakżeż jest z tem naprawdę?

Poprawka wprowadzona została z autografu; to jedno powinnoby ją dostatecznie uzasadniać. Ale prof. Kridl mniema, że poeta w korekcie sam i umyślnie wprowadził tu cezurę katalektyczną, zaimek usunął, bo psułby mu rytm; inaczej trzebaby chyba czytać: „czołgając się”. Horrendum.

Ale cóż! Tutaj dopiero prof. Kridl pomylił się. Od czasu studjum St. Turowskiego (1912) wiadomo przecież, że takich wypadków, gdzie przed średniówką stoi „się” po czasowniku i napozór „psuje” trocheiczny wydźwięk pierwszego członu, jest w „Panu Tadeuszu” 121, a wypadków z innym zaimkiem jednozgłoskowym 46. Musi wprost zdumiewać, że ani w jednym z tych wypadków poeta nie wyczuł usterki rytmicznej i nie wprowadził cezury katalektycznej. Co więcej, w roku zeszłym w „Języku Polskim” usiłowano wykazać, że wszędzie tam zachodzi wypadek enklityki i że takie enklityczne łączenie zaimka zwrotnego z czasownikiem stanowi dodziśdnia właściwość wymowy w stronach rodzinnych poety i było niewątpliwie właściwością jego samego. Prof. Kridl faktu w poemacie nie zauważył, a literaturę o nim puścił mimo uszu. Tak chyba tylko wytłumaczyć można jego wywody o zepsutym jakoby rytmie i zgłosce „niepotrzebnej”. Jeżeli zatem w „Panu Tadeuszu” jest 167 wypadków z enklitycznem uformowaniem członu przedśredniówkowego, jeżeli natomiast niema ani jednego wypadku średniówki katalektycznej, jeżeli interpolowane „się” w wierszu III. 82 znajduje się w autografie, — to czy jego wprowadzenie do tekstu doprawdy nie było wpełni uzasadnione?

W konkluzji: wydania „Pana Tadeusza", dokonanego przez prof. Kridla nie odsądzam od czci i wiary. Przeciwnie, cenię wysoko jego przedmowę, choć nie we wszystkiem mogę na nią przystać. Dostrzegam też i oceniam ambitny zamysł, jaki mu przewodniczył przy ustalaniu tekstu, choć nie mogłem stłumić zastrzeżeń, jakie musi wywołać wykonanie tego zamysłu.

Kraków. *Stanisław Pigoń.*

MISE AU POINT

Odpowiedź prof Pigonia nie może zmienić faktu, widocznego dla bezstronnego czytelnika, a mianowicie, że wydanie, o którem mowa, zostało w jego recenzji — co tu dużo gadać — zerżnięte. I teraz właściwie nie zmienia on swego zasadniczego stanowiska, choć pozornie zaprzecza, trochę się wycofuje i wypowiada zdawkowe pochwały.

Całe wyjaśnienie recenzenta świadczy o tem, że owe „zerżnięcie" było niesprawiedliwe. Bo nowe zarzuty, jakie wytacza dotyczą (poza błędami druku) spraw subtelnych i spornych: kwestji interpretacji niekonsekwencyj pierwodruku, oboczności form, ich ujednostajnienia i t. p. Pośrednio więc stwierdza to samo, co ja twierdziłem, t. j. że w wydaniu błędów grubszych niema. A jeżeli niema, jeżeli posiada ono nawet pewne zalety, to nie można się z niem załatwiać w ten sposób, jak to uczynił recenzent.

Owe sprawy subtelne i sporne traktuje prof. Pigoń sposobem bardzo uproszczonym, nie chcąc zrozumieć, że żadne szanujące się wydanie „Pana Tadeusza" nie może być bezmyślną fotografją, utrwalającą wszystkie przypadkowości pisowni, lecz musi wprowadzać w ten chaos jakiś ład i jakąś metodę. Nie rozumie też, co oznacza „fryzowanie" tekstu, co „karygodna ingerencja wydawcy" i czem się ona różni od starań oddania intencyj poety, psutych przez zecerów i korektorów. Wydaje mu się wreszcie, że jeżeli ktoś usprawiedliwia swoje błędy ogólnoludzką ułomnością i na dowód cytuje omyłki znakomitych nawet wydawców krytycznych — to tem samem twierdzi, że sam jest bez zarzutu!!

Nie mogę się tu wdawać w szczegółową polemikę, np. wykazywanie, że to, co prof. P. nazywa „wypadaniem części słów" jest przeważnie tylko obłamaniem lub zamazaniem pojedyńczych liter końcowych — lub że „uwspółdźwięcznianie" rymów jest rzeczą racjonalną, podobnie jak ujednostajnianie podwójnych liter i t. p. Ale sprawie rytmu muszę poświęcić parę słów, gdyż mamy tu znowu nieporozumienie i uproszczenie. Mnie przecież chodziło o jeden konkretny wypadek i o mylne twierdzenie prof. P., że wydania 1834 i 1844 opuszczały zaimek „się" ze szkodą dla rytmu. Zwróciłem uwagę na rzecz chyba bezsporną, że owo „się" jest rytmicznie zbyteczne, a przykre dla stylu i dźwięku całego zdania. Prof. P. zaś omija to zagadnienie, natomiast wytacza mi znane wszystkim 121 wypadków Turowskiego. Nikt nie może zaprzeczyć, że są one ważne i pouczające. Ale nie są tak proste i wszędzie jednakowe. Przedewszystkiem nie dowodzą wcale, że przez opuszczenie „się" w miejscu przeze mnie zacytowanem wynika szkoda dla rytmu. Pozatem zaimek „się" znajduje się tam (z wyjątkiem jednego wypadku) w innej pozycji, która sprawia, że 1-o przeważnie możemy kłaść akcent normalny bez zachwiania rytmu — 2-o nigdzie (oprócz jednego miejsca) nie można owego zaimka opuścić bez szkody dla sensu. Tem się zapewne tłumaczy zdumiewający prof. P. fakt, że nigdzie tam poeta nie wprowadził cezury katalektycznej. A tutaj mógł wprowadzić, nie szkodząc niczemu — i oto właśnie mi chodziło. Zaznaczyłem zresztą, opierając się na wynikach Turowskiego, że rytm będzie w porządku, jeżeli przycisk w wyrazie „czołgając się" położymy na: jąc. Można oczywiście i tak, i wówczas owe „się" nic nie szkodzi rytmicznie, choć brzmi nieprzyjemnie. Ale czy koniecznie trzeba tak robić, skoro się ma za sobą autorytet dwóch wydań, dokonanych pod okiem poety?

Sprawa więc jest skomplikowana i wymagałaby dokładnego przestudjowania wszystkich wypadków, gdzie występuje „się" w rozmaitych pozycjach. Nie można bowiem wcale uważać za pewnik tezy prof. P., że „wszędzie tam zachodzi wypadek enklityki" i że stanowi to „do dziś dnia właściwość wymowy w stronach rodzinnych poety". Trzeba będzie jeszcze kiedyś do całej tej sprawy rytmiki „Pana Tadeusza" powrócić.

Wilno. *M. K.*

W SPRAWIE »LALKI« PRUSA

Nie ulega wątpliwości, że nasza literatura krytyczna o Prusie nie pozostaje w odpowiednim stosunku do tego, co on reprezentuje. Ażeby wywołać na ten temat żywszą dyskusję, zamierzałem wystąpić z próbami nowych oświetleń. Na początek ogłosiłem studjum o „Lalce", ale poczynione doświadczenia zniechęciły mię do dalszych z tej dziedziny publikacyj.

Z kilku recenzyj, jakie wywołało me studjum, wymienię, jako chlubny wyjątek i rzadkie dziś zjawisko, uwagi p. Władysława Jabłonowskiego (Myśl Narodowa № 54 z 1934 r.). Recenzja ma charakter dyskusji, przyczem autor jedne wywody odrzuca, inne przyjmuje, dorzuca wreszcie ciekawe szczegóły od siebie. Jakże inaczej wygląda recenzja p. Araszkiewicza, ogłoszona w Ruchu Literackim (grudzień 1934 r.). Nie mam do nikogo pretensji, gdy nie podziela mego zdania, toteż nie poto zabieram głos, by p. Araszkiewicza przekonać. Są tam jednak dość ciężkie zarzuty, a przysłowie mówi, qui tacet, consentire videtur. Otóż rozpatrzę je i to tylko od strony formalnej.

a. Zarzuca mi recenzent sprzeczność: „Więc bankrut moralny, trup duchowy w pojęciu p. Życzyńskiego — jeszcze tworzy dzieło moralnie doniosłe dla nauki i ludzi — jakże to rozumieć?"

A więc p. Araszkiewicz nie zna zupełnie pojęcia, ani terminu technicznego — śmierć moralna. Jest to moment, kiedy bohater czuje, że kończy się jego rola na świecie, ale to nie oznacza nicości duchowej, nihilizmu.

b. Nie znając elementarnych pojęć z dziedziny poetyki, dziwi się p. Araszkiewicz, że moje studjum ukazało się pod poważną firmą Tow. Naukowego: „Pytanie to jest tem niezbędniejsze, że autor mówi z olbrzymią zarozumiałością i pychą o niemożliwości zrozumienia przez ludzi małej duszy owej ostatecznej wspaniałomyślności Wokulskiego..."

Nie rozumiem, jaki powód dałem tu p. Araszkiewiczowi do wycieczek natury osobistej? Jeśli analizuję powieść lub dramat, muszę się zastanowić, które postacie autor stawia wyżej, które niżej. Otóż stwierdziłem, że Prus wzorował dr. Szumana na postaci t. zw. rezonera. Kto trochę zna literaturę europejską, musi mi przyznać rację. A dalej, i Prus nie byłby dla nas tak wielki, gdyby mu zbytnio imponował cyniczny Szuman. Jakąż więc osobistą pychą zgrzeszyłem, nazywając Szumana człowiekiem małym? Widocznie p. Araszkiewicz myślał, że ja mam na myśli czytelników, a jego osobę w szczególności. Stwierdzam więc, że wcale nie uderzałem w stół, by się nożyce odzywały.

c. Kwestjonuje również recenzent moje zdanie, że Prus uwzględniał prawo doboru naturalnego — „tak, jakgdyby dobór naturalny w miłości człowieka opierał się wyłącznie na ciągotkach, bez wzajemnego przejrzenia się psychicznego". A więc dla p. Araszkiewicza dobór, a ciągotki, to jedno i to samo. Ciągotki posiada każdy degenerat, dobór zaś to surowe prawo natury, strzegące dobra gatunku i usuwające poza nawias wszystko, co słabe i brzydkie. Prus rozumiał, że to prawo nie może być jedynym regulatorem stosunków ludzkich, bo społeczeństwo ludzkie jest czemś więcej, niż natura, sądził jednak, że prawo to, całkowicie zlekceważone, musi się pomścić.

Stwierdzam więc, że w tych trzech punktach zarzuty p. Araszkiewicza są formalnie nieprawidłowe i godzą raczej w niego samego, niż we mnie. Co się zaś tyczy innych zagadnień, jak np. kwestji samobójstwa Wokulskiego i t. d. nie zamierzam się o to sprzeczać, ale zostawiam każdemu swobodę własnego zdania.

Lublin. *Henryk Życzyński.*

*

Replika p. Życzyńskiego na moją recenzję jeszcze raz stwierdza subjektywny, a więc nienaukowy charakter jego rozumowania; w ten sposób można dyskutować bez końca i — bez rezultatu merytorycznego. Dla p. Życzyńskiego „nie ulega wątpliwości, iż nasza literatura krytyczna o Prusie nie pozostaje w odpowiednim stosunku do tego, co on reprezentuje"; oznacza to oczywiste niedocenienie krytyków tej miary, co L. Popławski, P. Chmielowski, I. Matuszewski, L. Włodek i Z. Szweykowski.

Zarzuca mi p. Życzyński „i to tylko (!) od strony formalnej", że nie znam zupełnie pojęcia śmierci moralnej — wtedy, gdy mówił sam w studjum o bankructwie moralnem, co oznacza całkowitą przegraną ideału moralnego człowieka, w danym wypadku Wokulskiego; nastąpiło tedy pomieszanie pojęć przez profesora, a nie przeze mnie. Uwaga, dotycząca rzekomej „ignorancji mojej z dziedziny elementarnych pojęć poetyki" nie nadaje się absolutnie do odpierania i dyskusji, jako wyraz rozdrażnienia profesora, niewątpliwie pozanaukowy; sądzę zresztą, że dzisiaj — po namyśle — nie napisałby jej p. Życzyń-

ski ze względu na samego siebie. Dalej, gdy mówi profesor o małości dr. Szumana, czyni to tak, jakby pośrednio chciał uderzyć we mnie, jako człowieka, a nie recenzenta; jest to jeszcze jeden dowód subjektywnej metody profesora. Zestawienie odpowiednich ustępów mojej recenzji ze studjum p. Życzyńskiego w tej kwestji wystarczy nieuprzedzonemu czytelnikowi za wszelkie wyjaśnienia, powoływałem się bowiem ściśle na autora, cytując jego słowa. To samo dotyczy rozróżniania „ciągotek" od doboru naturalnego, wyraźnie bowiem podkreśliłem (jak słusznie obecnie chce profesor), że „społeczeństwo ludzkie jest czemś więcej, niż natura", ponieważ chodziło mi właśnie o stronę duchową miłości Wokulskiego, jednostronnie ujętą przez p. Życzyńskiego w studjum, a wyjaśnioną dopiero w obecnej replice zgodnie z mojem stanowiskiem.

Lublin. *Feliks Araszkiewicz.*

W SPRAWIE »DYKCJONARZA TEATRÓW POLSKICH«

Gruntowna recenzja p. Mieczysława Rulikowskiego z „Dykcjonarza teatrów polskich" (zob. „Ruch Literacki", 1935, № 3) wymaga pewnych wyjaśnień ze strony autora.

Umieszczenie we wstępie zwięzłego zarysu dziejów teatru było konieczne, gdyż książka nie została wydana tylko dla specjalistów i wogóle tylko dla czytelników głębiej przygotowanych naukowo. Wstęp (20 str.) nie zastąpi monografji, inne też jego zadanie. Skoro książka ograniczyła się do odpowiedzi, gdzie, kiedy, jaki działał teatr w ciągu trzech wieków, i skoro podstawą konstrukcji był wykaz alfabetyczny miejscowości, istniały pewne powody, by naszkicować we wstępie rozwój teatru w demarkacyjnych punktach, zwłaszcza że taka synteza w niejednem musiała się różnić ad stanu dotychczasowych badań.

Nierównomierność objętości tekstu poświęconego poszczególnym miejscowościom była nieuniknioną konsekwencją stosowania metod uzasadnionych we wstępie. W „Dykcjonarzu" szło o udowodnienie gdzie, kiedy, jaki typ teatru działał w Polsce od czasów najdawniejszych do r. 1863. Istnienie teatrów szkolnych w tych czy innych granicach chronologicznych należało udowodnić drukami i rękopisami, co zajęło wiele miejsca. Ponieważ „Dykcjonarz" ograniczył się do faktów podstawowych (odpowiedź na pytanie: gdzie, kiedy, jaki działał teatr), główny nacisk położony został na prowincję. Warszawa, Kraków, Lwów i Wilno miały teatry stałe działające dziesiątki lat pod kierunkiem różnych dyrektorów, natomiast mniejsze miasta korzystały z występów trup wędrownych. Stąd też odpowiedź na pytanie, gdzie, kiedy, jaki działał teatr, była obszerniejsza przy takim Łowiczu, niż przy Lwowie i to nietylko w tekście głównym, lecz i w przypisach. Zasadnicze informacje o większych miastach można było zaczerpnąć z podstawowej literatury przedmiotu, natomiast takież dane o prowincji z braku lub niedomagań literatury przedmiotu wypływały dopiero z licznych źródeł.

W zakończeniu recenzji p. Rulikowski zwrócił uwagę, że pewne dane z kroniki miast zostały pominięte w dodatkach w wykazach systematycznych. Recenzent wynotował przeoczenia, usprawniając korzystanie z książki, jednak w skrupulatności poszedł zbyt daleko.

W wykazie teatrów wędrownych uwzględniałem tylko teatry napewno wędrowne, pomijając teatry stałe organizujące objazdy, zestawione osobno, oraz wszelkie antrepryzy, znane tylko z jednego miasta, o których przedwcześnie dziś mówić jako o etapach wędrówek, a nieraz nawet zbytecznie. Np. Aszperger grywał w Mińsku w r. 1839 i na tem koniec. Morawski, Górska, Linkowscy i Nowakowski to dyrektorzy stałej sceny w Grodnie urządzającej objazdy. Teatr Salomonowiczówny rozbił się w Krasnymstawie i nie zdążył być objazdowym. Imprezy Truskolaskiej we Lwowie, Aśnikowskiego w Zamościu i Lublinie miały charakter teatru stałego, podobnie jak Chełmikowskiego w Mińsku, Grunwalda w Kownie, Włodka w Siedlcach etc. Zamiast wykazu teatrów wędrownych być może bardziej byłby pożyteczny ogólny wykaz przedsiębiorców prowincjonalnych jacy kiedykolwiek się zjawiili choćby w jednem mieście, jednak skoro temat został ograniczony do stwierdzonych teatrów objazdowych i ich marszrut, dopełnienia recenzenta powinny były poprzestać na istotnych pominięciach bez uciekania się do hipotezy, że każdy przedsiębiorca prowincjonalny prowadził teatr objazdowy.

Osobiście unikałem hipotez, indeksując materjał w dodatkach. Np. z wiadomości: Czerniowce. W r. 1831 zjeżdżali z kompanjami Cieplik i Stobiński" (źródło: Estreicher). Świadomie nie wysnuwałem wniosku, że to napewno mowa o kompanjach Cieplika i Stobińskiego. O Cepliku jako dyrektorze nic nie wiemy, Stobiński stworzył trupę dopiero w r. 1835, zatem jeżeli nawet data jest bezbłędna, relację można tłumaczyć w ten sposób, że Cieplik i Stobiński byli aktorami innych towarzystw i w tym charakterze zjeżdżali do Czerniowiec „z kompanjami". P. Rulikowski upomina się o te dane w wykazie chronologicznym i w wykazie dyrektorów, tymczasem moje obawy były słuszne, jak to się okazuje z notatki Juljana Heppena w „Echu Muzycznem, Teatralnem i Artystycznem" (1888, R. V, str. 221). Stobiński do r. 1835 pracował w teatrze Szymkajły, zaś ów Cieplik to Agnieszka Cieplikówna, późniejsza żona Stobińskiego, która po r. 1830 grywała m. in. w Czerniowcach w kompanji Winnickiego.

Niewszystkie opuszczenia w dodatkach były przeoczeniami. Czy widowisko w Korczynie około r. 1600 było szkolne, to jeszcze pytanie. Z oderwanej wiadomości o przedstawieniu w Boremlu niesposób wnioskować aż o istnieniu teatru. Unikając hipotez z rezerwą też traktowałem notatki Estreichera w „Kalendarzu" Ungra, gdyż masy tam błędów, niejasności i nieścisłości. Marszruty teatrów objazdowych operują danemi pewnemi, natomiast w kronice miast istnieją nieraz pozycje mniej lub bardziej wątpliwe, że w tym i tym roku „miał" grać np. Gubarzewski i Łobojko. Miał grać, to jeszcze nie grał napewno, zwłaszcza gdy źródłem informacyj był Kalendarz Ungra. Wreszcie nadmieniam, że w objazdach teatru wileńskiego nie podałem osobno: „Druskieniki 1844", gdyż wystarczyło „od 1841 Druskieniki", wobec dorocznych, lecz wyjątkowo stwierdzonych, występów gościnnych.

Warszawa. *Ludwik Simon.*

*

P. Simon zbyt wziął do serca moje słowa o tem, że zbędne jest omówienie w „słowie wstępnem" historji teatru na ziemiach polskich. Występując w jego obronie, czyni słusznie, gdyż treściwy ten skrót jest dobrze zrobiony i ujmy cennej pracy nie przynosi; mimo to zbędny jest dla mnie, który widzę w „Dykcjonarzu" książkę podręczną dla historyków (teatru i literatury). Autor jest innego zdania co do jej przeznaczenia. Są to więc dwa różne punkty widzenia. Zdaje się, że każdy z nas pozostanie przy swoim.

P. Simon nie zwrócił uwagi, że nierównomierność objętości tekstu razi mnie nie w całości dzieła, ale jedynie w tem, co dotyczy teatru zawodowego. Już to samo, że historja teatru w większych miastach składa się z większej liczby faktów (pomijając nawet ich większą doniosłość) wskazuje, iż o tych miastach można i należy napisać więcej, niż o mniejszych i zupełnie małych.

Przeczytawszy uważnie moją recenzję p. Simon niechybnie spostrzeże, iż nie uciekam się do hipotezy, jakoby każdy przedsiębiorca miał prowadzić teatr objazdowy. Kwestja podziału na teatry: stałe i objazdowe, jak sam Autor wie dobrze, jest wielce skomplikowana. To też przypadły mi do gustu jego słowa, że może bardziej byłby pożyteczny ogólny wykaz przedsiębiorców, innemi słowy — poprostu indeks nazwisk. W tym stanie rzeczy, ażeby dowiedzieć się o wielu antreprenerach, gdzie który był, trzeba wertować tekst strona po stronie.

Laski. *Mieczysław Rulikowski.*

N O T A T K I

JEDNA JESZCZE GRUPA »SZKLANYCH DOMÓW«

Tak się jakoś złożyło, że „Ruch Literacki" stał się istnym organem „szklanych domów". Ja, zdaje się, zacząłem (1929, str. 96): notatką, w której zwróciłem uwagę na to, że takie domy były nietylko w „Przedwiośniu", ale już w „Urodzie życia". P. Ludwik Rath (1930, str. 310) odszukał dla nich literacką parantelę w „Czarnych diamentach" Jokaia. P. Piotr Grzegorczyk wreszcie (1931, str. 32) przypomniał, że już na wystawie powszechnej w Paryżu w r. 1900 były demonstrowane próbki nowego materjału budowlanego, który się nazywał „kamień szklany", i że w Polsce współcześnie pisano o tem (np. w „Bibljotece Samokształcenia" d. 2 grudnia 1903 r.). Może warto do kroniki genealogicznej pomysłu Żeromskiego wpisać jeszcze artykulik, zamieszczony w „Tygodniku Illustrowanym" 1905 r., nr. 39. Oto jego całość:

„DOMY ZE SZKŁA. Przedsiębiorczy duch Amerykanów okazuje się prawdziwie twórczym w dziedzinie przemysłu. Objawia się to szczególnie w budownictwie, czego dowodem są np. olbrzymie 26-piętrowe domy żelazne, a ostatnio — domy ze szkła. Nowość tę wprowadził architekt E. Eastman z Des Moines w stanie Jowa. Wynalazca zastosował do budowy ogromnego domu, przeznaczonego na kasę oszczędności w Des Moines, płyty z białego jak mleko szkła, grubości 6 milimetrów. Płyty owe są wciśnięte w dwie stalowe ramy, silnie spojone z sobą i przynitowane do stalowej podłogi. Ściany składają się z dwu rzędów takich płyt, przedzielonych warstwą powietrza. Chroni to zarówno od chłodu, jako też od wszelkich hałasów ulicznych. Dom taki nie potrzebuje właściwie zupełnie okien, bo światło, które przechodzi przez szklane ściany, jest zupełnie dostateczne, a wentylacja odbywa się innymi sposobami. P. Eastman jest wogóle przeciwnikiem okien. Twierdzi on, że przez nie przedostaje się do wnętrza domu kurz uliczny, wszelkie bakterye i owady. Domy ze szkła są prawie zupełnie zabezpieczone od ognia. Wygląd zewnętrzny — jak to widać na załączonej rycinie — przedstawia się okazale. Białe ściany robią wrażenie marmurowych".

Istotnie, obok artykuliku była zamieszczona ilustracja, przedstawiająca okazały, bo dziesięciopiętrowy o 16 oknach szerokości „dom ze szkła" (tak brzmi podpis), przypominający dosyć powojenną architekturę żelazo-betonową.

Spora więc zebrała się garść dokumentów skłaniających do mniemania, że i w tym wypadku, jak w wielu innych, Żeromski nietylko „fantazją narabiał" (po brücknerowsku mówiąc), ale i nowiny techniczno-naukowe śledził.

Warszawa. ***Wacław Borowy.***

O GENEZĘ HISZPANKI W »POPIOŁACH« ŻEROMSKIEGO

Prawie wszyscy napoleońscy „ułani" i lansjerzy z nad Wisły byli pod silnym urokiem wdzięków kobiet Południa, stąd dość liczne epizody miłosne, spotykane w pamiętnikach bohaterów walk w Hiszpanji; zdarzały się nawet wypadki małżeństw z Hiszpankami.

Wydaje mi się, że źródłem „doncelli" takiej, jaką widzimy w „Popiołach", są pamiętniki gen. Brandta. Młody wówczas porucznik kochał się w „cudownie pięknej" Hiszpance Inez z Calatayud, a jego delikatne i entuzjastyczne uczucia jakże żywo przypominają Cedrę w epizodzie z „doncellą".

Nawet na polu walki marzy o swej ukochanej porucznik Brandt: „przyniosłem jej z mojej wyprawy trochę polnych kwiatów". Podobnie Cedro obdarza piękną Hiszpankę wiązanką jasnych róż. Sielankę miłosną przerywa rozkaz natychmiastowego wyruszenia z Calatayud. Zakochany młodzieniec myślał wówczas o wykradzeniu Inezy. Marzenia Cedry są podobne: widzi „doncellę" „w kraju północnym" „pod strzechą olszańską". Po kilku tygodniach rozstania wraca por. Brandt do Calatayud, lecz nie spotkał już Inezy, dom był pusty; „poznikały sprzęty, ani śladu moich kwiatów". „Wyszedłem z tego domu i nigdy już nie przestąpiłem jego progu. Nie wiem jak byłbym zdołał przy żywej mojej wyobraźni i głębokiem uczuciu przeżyć ten cios, gdyby nie to, że natychmiastowy marsz, trudy i nieustanne wzruszenia wojskowego życia, osłabiły zczasem moją rozpacz". „Nigdy już nie zdarzyło mi się spotkać

podobnej piękności i takiego serca, jak u tego dziewczęcia".

Podobnie Cedro, po dłuższej nieobecności idzie do domu swej ukochanej. Oczyma duszy widzi ją „w dzień letni pod cieniem wielkich brzóz". „Azali spodoba się jej kraj północny, azali powita sercem życzliwem ubogi rozdół Wisłoki? Przyjmiesz-że go sercem, dziecino Aragonji?" Spotyka go bolesny zawód. Z domu „doncelli" pozostały gruzy i zwaliska. „Wtedy spracowany ciałem i duchem, zwalił się między kamienie, powiedziawszy sobie, że nic już tu niema".

Rozpacz Brandta jest równie wstrząsająca, skoro uświadomił sobie, że ukochaną stracił nazawsze.

Piękna Hiszpanka z pamiętników Brandta jest czuła i kochająca. O Hiszpankach z bronią w ręku występujących przeciw wrogom swej ojczyzny, czytamy u gen. Mrozińskiego: „Nietylko kobiety z pospólstwa mieszały się pomiędzy wojowników, czasem młoda zgrabnie przybrana piękność niesilną swą ręką, dźwigając karabin wojskowy, spieszyła do boju. Oficerowie znajdowali przykład w męstwie takich kobiecych wojowników i nową pobudkę w ich obecności, która w nich zapewne nadzieję słodkiej nagrody niecila". Być może, że dwie sylwetki Hiszpanek: groźnej i czułej — złożyły się na postać „doncelli" w „Popiołach", przecież po raz pierwszy widzimy ją w wirze walki. Hiszpanka lansjera Cedry wyrosła z pamiętników. To, co ukrywało się w starych zapomnianych księgach, pisanych często bynajmniej nie artystycznie, Żeromski wydobył na światło dzienne w najpiękniejszej formie genjuszem swego talentu. Z popiołów nieczytywanych dziś pamiętników powstały żywe nieśmiertelne Popioły epoki napoleońskiej.

Marzyli przecież pamiętnikarze, zdając sobie często sprawę z nieudolności swych pisanin, aby ktoś inny wielkim talentem wyśpiewał ich wojenkę daleką.

Warszawa. *Marja Borowska.*

JAK WYSTAWIONO »NARZECZONE« KORZENIOWSKIEGO I »ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORĘ« FREDRY W KRAKOWIE W R. 1853?

W bardzo cennej pracy Zygmunta Przybylskiego: „Z rozwoju polskiego teatru. Antonina Hoffmann" (Kraków, 1898, str. 36 n.) znajduje się m. in. notatka o wystawieniu w Krakowie w r. 1853 „Narzeczonych", dwuaktowej komedyjki Józefa Korzeniowskiego oraz „Zrzędności i przekory" Fredry. Wystawiono oba utwory siłami amatorskiemi; duszą całego przedsięwzięcia był Adam Skorupka, który zajmował się teatrem z zamiłowania prawdziwego; m. in. tłumaczył francuskie komedje, urządzał razporaz przedstawienia amatorskie, biorąc w nich czynny udział.

W przedstawieniu wspomnianem oprócz Skorupki wzięli udział Lucjan Siemieński, ks. Paweł Sanguszko, Antoni Kłobukowski, hr. Wodziccy, nadto panie Jabłonowska, Sanguszkowa, Skrzynecka, Wiktorja i Sobiesława Mieroszewskie.

Dla zrozumienia wiadomości podanej przez Przybylskiego o przedstawieniu „Narzeczonych", przypominam, że treścią komedyjki Korzeniowskiego jest lekcja dana trzem młodym, dobrym, ale rozkapryszonym panienkom, tyranizującym swych narzeczonych w niemożliwy sposób, lekcja dana im przez młodego Augusta, starającego się o rękę wdówki Hortensji. Korzystając z tej okoliczności, że o rękę Hortensji zamierza starać się niejaki Dylicki, stary bogacz, przebiera się August porozumiawszy się z Hortensją za niego; doznawszy po przybyciu odmowy ze strony Hortensji, oświadcza się kolejno trzem panienkom, owym narzeczonym, które wystraszone gburowatem zachowaniem starego konkurenta ratują się w ten sposób z opresji natarczywego Dylickiego, że same zmuszają swych narzeczonych do oświadczenia się o ich rękę. Komizm tej bezpretensjonalnej komedyjki potęguje jeszcze ta okoliczność, że narzeczone niezadowolone ze swych konkurentów, marzą o poślubieniu starszych mężczyzn; ideałem męża wydaje się nieznany im Dylicki; kiedy jednak zjawia się wśród nich, przekonywają się, jak nierozsądne były ich marzenia. Mógł zaś p. Dylicki i najodważniejszą dziewczynę przestraszyć, najpierw postacią swą zewnętrzną; według wskazówki reżyserskiej autora, jest to człowiek siwy zupełnie, na lewem oku ma czarny plasterek, szram na czole, o szczudłach pod lewą ręką. Sposób zaś zachowania się tem więcej jeszcze zaniepokaja kandydatki stanu małżeńskiego, Dylicki bowiem przedstawia się jako człowiek wprost straszliwy, krzyczy, gniewa się bez powodu, pannami komenderuje jakby żołnierzami,

żądając od nich bezwzględnego posłuszeństwa; a już do rozpaczy są doprowadzone, jak zaczął opowiadać im o swoich trzech nieboszczkach żonach, jak je maltretował.— Ostatecznie wszystko kończy się dobrze: Trzy panienki uwalniają się od konkurów nieznośnego złośnika, poczem p. Dylicki daje się poznać jako August, któremu kochająca go Hortensja z ufnością w jego zacność oddaje swą rękę.

Pan Adam Skorupka, przedstawiający Augusta, wpadł na pomysł scharakteryzowania się jako generał Józef Chłopicki. Według Przybylskiego tak wybornie, tak łudząco naśladował w swej roli wodza powstania listopadowego, że już to samo zapewniło niezwykły sukces i widowiska i artysty.

Mimowoli zdziwiony czytelnik zapytać może, co upoważniło Skorupkę do przybrania maski Chłopickiego. Zachęciły go do tego pewne szczegóły, jakie Dylicki opowiada o sobie w a. II. Wspomina on o swojej służbie żołnierskiej, o tem, że nie uchraniał się nigdy, stąd był wielekroć ranny. Rany jego pogoiły się, ale żeby się nie odnawiały, ma cztery apertury, dwie na rękach, dwie na nogach — obecnie jest sparaliżowany, głuchy. Jako pułkownik trzymał młodych oficerów w ryzach, tak jak młodzież trzymać należy. Opierając się na tych szczegółach uważał Skorupka za stosowne naśladować w przebraniu Chłopickiego ku ogólnemu zadowoleniu i radości rozbawionej elity towarzyskiej Krakowa.

Na ten sposób wystawienia „Narzeczonych“ trudno się jednak zgodzić; pomijam, że sam Korzeniowski nawet nie myślał o czemś podobnem, pomijam także, że przytoczone powyżej szczegóły o służbie wojskowej Dylickiego nie pokrywają się z karjerą wojskową Chłopickiego. Najważniejsze, że nie wypadało popełnić podobnego nietaktu; jakkolwiek zapatrywać się będziemy na rolę Chłopickiego w powstaniu listopadowem, nie można zapomnieć, że był to przecież w latach popowstaniowych człowiek zasługujący na szacunek — wyśmianie go, wyszydzenie niebyło więc rzeczą odpowiednią, tem bardziej zaś przykrą, że stał już wówczas nad grobem — niebawem potem zakończył życie w Krakowie w r. 1854, przeżywszy lat 83.

Drugiem curiosum owego przedstawienia amatorskiego było wystawienie komedji Fredry: „Zrzędność i przekora“. W zespole amatorskim były dwie wyborne charakterystyczne artystki, wspomniane panie Wiktorja i Sobiesława Mieroszewskie. Skorzystawszy z tego, zmieniono role męskie Jana i Piotra na kobiece. Obie panie Mieroszewskie jako ciotki miały tak dobrze wykonać swe role, że uprawniły według Przybylskiego gwałt płciowy zadany niezrównanej komedji Fredry.

W ten sposób wypaczono zupełnie charakter utworu. Niestety, wówczas podobało się to arystokracji krakowskiej, smutne jednak wystawiającej sobie świadectwo.

Tak to bawiono się w r. 1853 w Krakowie! [1].

Lwów. *Wiktor Hahn.*

[1] O tem przedstawieniu amatorskiem „Narzeczonych“ wspomina także Karol Estreicher (Teatr w Polsce w Krakowie. 1876. Tom II, str. 446 nn.), nie mówi jednak o scharekteryzowaniu Skorupki jako Chłopickiego Według Estreichera w „Zrzędności i przekorze“ najlepiej odtworzyła rolę Zofji Wiktorja Warardówna.

PRENUMERATA RUCHU LITERACKIEGO:

Roczna (10 zeszytów) w W-wie bez odnoszenia do domu zł. 14.—; z przesyłką pocztą w Warszawie, na prowincji i zagranicą zł. 16.— (Półroczna (zesz. 1—5, I-e półr. wzgl. 6—10 II-e półr.) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 7.—; z przesyłką pocztą j. w. zł. 8.— Cena numeru pojedyńczego zł. 2.—. Prenumeratę można wpłacać do P. K. O. na Konto № 12500.

Ceny ogłoszeń:

w tekście	2 i 3 str. okładki	4 str. okładki
1/1 str. zł. 60.—	1/1 str. zł. 100.—	1/1 str. zł. 80.—
1/2 str. „ 35.—	1/2 str. „ 60.—	1/2 str. „ 50.—
1/4 str. „ 20.—	1/4 str. „ 40.—	1/4 str. „ 30.—

REDAKTOR: PIOTR GRZEGORCZYK WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. ZGODA 12. TEL. 678-16.

Korespondencje, tyczące spraw redakcyjnych oraz egz. recenz. należy przesyłać pod adresem: RUCH LITERACKI, Warszawa, ul. Kromera 4 m. 18.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.